

MAGDALENA TULLI

Sny i kamienie


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

MAGDALENA TULLI

Sny i kamienie

OD AUTORKI

Pierwsza wersja tej powieści była pisana w latach osiemdziesiątych. Ukazała się w roku 1995. Obecna, z roku 2019, różni się od tamtej. Myśl została wyrażona jaśniej, a wątki czytelniej uporządkowane, dzięki czemu całość stała się bardziej przejrzysta i łatwiejsza w odbiorze. Ten rodzaj zmian można porównać z efektami rozwinięcia harmonii w utworze muzycznym, który już kiedyś słyszeliśmy w innej wersji: rozpoznajemy motywy i tylko trudno uchwycić zmiany, które przyniosły głębsze brzmienie.

Drzewo świata z początkiem sezonu wegetacji wypuszcza delikatne złotawe listki, które z czasem nabiorą srebrnego połysku i tonów ciemnej zieleni. Potem są żółte i czerwone, jakby płonęły żywym ogniem, a kiedy spłoną, spadają na ziemię zbrązowiałe, poszarpane i dziurawe, podobne do spopielałych papierów, do zgniecionych, przerdzewiałych na wylot blaszanek. Na początku sezonu wegetacji słońce najmocniej świeci i najwięcej ptaków śpiewa wśród gałęzi. Ale i wtedy rośnie już w głąb ziemi wilgotne i ciemne przeciwdrzewo, obgryzane przez robaki. Podziemny konar jest przedłużeniem konara nadziemnego, każda gałąź połączona jest niewidocznym akweduktem z przeciwgałęzią, przygniecioną tonami ziemi.

Pod koniec sezonu wegetacji drzewo obwieszane jest owocami. W każdym tkwi pestka, w pestce zawiązek drzewa i przeciwdrzewa, korona i korzeń. Wszystkie przyszłe sezony wegetacji czekają na swój czas w pestkach, w zawiązkach, w zawiązkach zawiązków.

Drzewo świata owocuje miastami. Wszystkie są takie same: każde inne. Każde jest wcieleniem pojedynczej możliwości z rejestru tego, co możliwe. Ma jedną nazwę wypisaną nad peronami. Jedna rzeka — drugiej nie trzeba — płynie niezmiennym korytem. Jest jeden spis ulic, jeden ogród zoologiczny. Cokolwiek stanie się jakiegoś, nie będzie inne. Mieszkańcy miasta muszą się z tym pogodzić: życie też mają jedno. Znają na pamięć odcienie tynków i chmur na niebie. Lecz przemierzając miasto, mnożą gorączkowe wyobrażenia tego, czym jeszcze mogłoby być. Jeśli na przykład ich rzeka płynie szeroko i leniwie między piaszczystymi brzegami, w tle unosi się jej dopełnienie: inna rzeka, o urwistych brzegach porośniętych zielskiem, ta, której nie ma. Kiedy miasto zawiązuje się, kiedy dojrzewa i kiedy gnije, zawiera w sobie wszystkie tła, o jakich da się pomyśleć, wszystkie możliwości i cały plan świata. Jest częścią i całością, bezkresem i zapadłą dziurą. Owocem świata i zarazem czeluścią, w której świat utonie.

Gdy drzewo zapłonęło żywym ogniem i spopielałe liście spadły z jego gałęzi, z zawiruszonej pestki coś zaczęło w swoim czasie kiełkować. Dlaczego właśnie wtedy, dlaczego w tym miejscu i dlaczego tak? Zależało to od gleby, od wiatrów. Zapewne też od niepowtarzalnych właściwości sezonu. Zaczęły rosnąć jednocześnie budowle publiczne i mieszkalne, wysmukłe i zwaliste, wielkie, średnie i nieduże. Wyrastały spod ziemi i pięły się wyżej, otoczone rusztowaniami, w obłokach wapiennego pyłu, wśród zamętu i wrzawy, wśród turkotu tacek, ostrzegawczych okrzyków i głuchych odgłosów spadających cegieł.

Nie wiadomo, skąd brała się siła, która wprawiała to wszystko w ruch. Ileż to łopat gliny trzeba wyrzucić, aby powstał jeden tylko wykop, ile się trzeba natrudzić, zanim mury

Drzewo

Robak

Miasto

ukazą się ponad jego krawędzią, nie mówiąc już o tynkach, futrynach i dachach. Przeznaczeniem pestki jest kielkowanie, kryjąca się w niej siła temu tylko służy, by wodę, glinę, piasek i wapno wciągnąć w obieg substancji, konieczny, żeby mury rosły. Zwały ziemi potrzebowały wiary, jak wody, bez której nic nie wszędzie. Ziemia wchłonęła jej tyle, ile tylko mogła. W obliczu tego dzieła, zakrojonego na siły olbrzymów, znikomość pierwszych tacek gliny, z mozołem wykopanej pod fundamenty przyszłych fabryk, mogłaby zachwiać wiarą, zasiać niepokój. Były wszak niczym wobec niewysłowionego bezmiaru tego, co jeszcze pozostało do zrobienia. Znój machających łopatami mógł się wydać za ledwie zapowiedzią przyszłych znojów. Lecz wiary wtedy nie brakowało, inaczej niż wiedzy, której, jak się wydaje, było jeszcze niewiele. Tylko ci bowiem, którzy nie wiedzą co czynią, mogą tak kopać i kopać bez obaw, nie dostrzegając nadciągającej lawiny dalszych konieczności, którą sprowadzić musiał nieopatrznie uczyniony początek. Raz rozpętany żywioł potężniał z chwili na chwilę. Można by było go powstrzymać jeszcze tylko w ten jeden sposób: zasypać wykopy i odejść.

Ale dokąd odejść? — zapytaliby ci, co mieszała zaprawę i kładli cegły. Świat był tylko jeden. I nic wtedy nie mąciło pewności, że trzeba kłaść fundamenty i wznosić mury, i nikt nie wątpił, że cokolwiek umysł stworzy — nawet agrafki, nawet kalafonia — musi być na świecie. Pion był pionem, poziom poziomem, tego się trzymano. Nikt nie pytał, po co w mieście ulice. A jeśli ulice mają być, to i polewaczki do splukiwania ich wodą w upalny dzień, kiedy się kurzy, i tramwaje, i ciężarówki, które jeździłyby po nich dniami i nocą z jednego przedmieścia na drugie i z powrotem. Było rzeczą oczywistą, że to dzieło potrzebuje postaci, które je wypełnią swoim życiem: szoferów, monterów, motorniczych i konduktorek, pielęgniarek i milicjantów.

Żeby powołać do życia cały ten tłum, trzeba było uszyć drelichowe kombinezony, białe fartuchy ze sztywnymi czepkami i mundury z niebieskawego sukna. Dlatego musiały być na świecie maszyny do wyrobu przędzy i do tkania, igły do szycia, nożyce krawieckie, zatem i maszyny do wyrobu tychże: tokarki, obrabiarki, szlifierki. A do produkcji tych maszyn inne maszyny, maszyny, maszyny. Gdy świat już istniał, nie mógł czekać ani chwili, maszyny, których potrzebował, musiały być gotowe niezwłocznie i wszystkie równocześnie, a stal, węgiel, nafta, papier i atrament, nie wspominając już o żółtej farbie olejnej do malowania ścian w poczekalniach, zaraz po nich. Po nich, czy raczej przed nimi? Cóż bowiem miało być pierwsze, żeliwo czy wielki piec? Tokarka czy śruba do niej? Jajko czy kura? Świat, ledwie wyłonił się z nicości, popadł od razu w kołowrót prac ogromnych jak on sam, mozolnych jak nawlekanie igły.

Czym prędzej wyprodukowano ebonitowe aparaty telefoniczne, do których należało wrzeszczeć, zasłaniając sobie ręką jedno ucho, tekturowe aktówki zawiązywane na karkdki, wielkie czarne maszyny do pisania, kopiowe ołówki. Pojawiły się masywne kalamarze z grubego szkła, drewniane suszki do atramentu obłożone bibułą w granatowe plamy, obsadki do stalówek i stalówki same. Wszystkie meble pachniały świeżą politurą. Czerwień napisów rozkwitła na murach, zapowiadając nadejście czasów marmuru, granitu i piaskowca w płytach ważących po dwie tony każda, tych kategoriycznie wymuszających szacunek, niezniszczalnych materiałów budowlanych — bo tylko one czyniły zadość wymogom nadludzkich fasad i wnętrz. Ale rdzeniem konstrukcji pozostał okrągły miliard cegieł. Każda z nich przeszła przez wiele rąk i wszystkie zniknęły pod tynkami i pod okładzinami z piaskowca. Odlamkami ciemnoczerwonych cegieł długo jeszcze dzieci bawiły się na podwórkach pod czystym niebem tego miasta.

W owych szczęśliwych czasach wszystkie przyszłe dni były świeże i ładnie poskładane, jak młode listki, które nie wyjrzały jeszcze z pąków. Każdy chłopiec miał w przyszłości zostać pilotem, każda dziewczynka nauczycielką. A ze szkolnych okien już zawczasu puszczano samolociki z zeszytowego papieru w kratkę albo w linię, a na płytach chodnikowych mnożyły się klasy do gry, koślawo obwiedzione białą kredą. Wszystko było wówczas możliwe, wszystko w zasięgu ręki. Świat wydawał się niezniszczalny, fundamenty były głębokie, mury grube, rury zupełnie nowe. Myśląc „świat”, wyobrażano sobie to, czego można dotknąć: mury i rury, sypki piasek, miękką glinę, chłodną wodę, szorstkie odlamki czerwonych cegieł, wapienny pył. I to, co można oglądać tylko z daleka, a co zawsze wraca na swoje miejsce o właściwych porach dnia i roku: słońce i gwiazdy na

niebie, chorągwie łopocące na wietrze. A także to, co jest zawsze i o czym się nie myśli: powietrze w płucach, ziemię pod stopami. Stąpano po niej ufnie, z przeświadczeniem, że istnieje naprawdę i zawsze będzie istniała.

Dwie ulice na krzyż, wytyczone na początku, pączkowały coraz licześniejszymi przecznicami, które z czasem wypuszczały swoje własne odgałęzienia, i tak bez końca. Powstawały kolejne skrzyżowania, miękkie nawierzchnie okrywały się brukiem, rozwidlały się ukryte pod nawierzchniami kanały i wodociągi. Drzewo wyrasta dzięki siłom życiowym ukrytym w pestce i dzięki sokom czerpanym z ziemi, ale kształt i gęstość korony zależy od kogoś, kto przycina gałązki sekatorem. Tak też wyrastało miasto: dzięki siłom natury, dzięki pracy rąk i dzięki ufności. Ale jego plan bez reszty zależał od tego, jak wytyczono fundamenty. Układ ulic mógł odsłonić założenia, które przyświecały twórcom planu.

Od początku był tak pomyślany, by udaremniał przypadkowe wydarzenia i zapobiegał pewnym myślom. Życie bowiem miało być repliką zabudowy, ład miasta miał kształtować ład umysłów. Twórcy planu, kimkolwiek byli, tę oto najważniejszą intencję woleli pokryć milczeniem. Nie dali się też złapać na podejrzanych sztuczkach urbanistycznych. A przecież z żadnego detalu nie spuściliby czujnego oka. Echo katorycznego tonu zdawało się wciąż jeszcze rozbrzmiewać w niedawno wykończonych wnętrzach. Techniczne komplikacje zapewne były rozwiązywane bez zwłoki — uderzeniem pięścią w stół. Zamysłów swych twórcy planu nie zamierzali naginać do prawideł sztuki i przed nikim nie musieli się z tego tłumaczyć. Nie byli architektami, a wyzywająca buta pewnych rozwiązań wskazuje, że poniekąd się tym szczycili. Może nawet nie umieliby posłużyć się w razie potrzeby suwakiem logarytmicznym ani rozeznaczyć się w wielości punktów widzenia, z jakich można spojrzeć na to i na tamto. I może dlatego obawiali się wszelkiej złożoności — przekonani, że prowadzić musi do upadku i klęski. Szukali zasady określającej kształt miasta definitywnie i wszechstronnie, zdolnej na zawsze uchronić życie przed skażeniem wieloznacznością.

Miasto, Przestrzeń, Władza,
Twórczość

Tu trzeba wyjawic, że zasadą może być kąt prosty, meander albo gwiazda. Od niej zależy wszystko, co będzie się działo w mieście od początku jego istnienia: przypadkowe spotkania, niebezpieczne kolizje, zaskakujące zbiegi okoliczności, nie mówiąc już o cyrkulacji chmur. Prawa fizyki utrzymuje się w ryzach przy pomocy równań zapisanych na papierze, nie na odwrót. Rysunek techniczny wyznacza koleje losów.

Na przykład miasto kątów prostych ma to do siebie, że położenie wzajemne dwóch punktów łatwo w nim oznaczyć i wymierzyć. Przestrzeń nie może wchłonąć ani przekazać żadnych treści oprócz tych czysto praktycznych, wolnych zarówno od falowania emocji, jak od surowej nieustępliwości idei. Każdy narożnik jest tam tak samo ważny. Pomniki są tylko figurami z kamienia zanieczyszczanymi przez gołębie. Wartość gruntów, regulowaną przez podaż i popyt, można wyrazić w obiegowej walucie. Wahania kursów giełdowych nie poddają się niczyjej woli. Nie ma żadnej siły zdolnej przechylić równo obciążone szale. Niczego, co by sprawiło, że rzut monetą przyniesie orła albo reszkę wedle życzenia, ani że wyciągnięta z talii karta okaże się jak na zamówienie asem kier albo przeciwnie, dwójką pik. Przez punkt nieleżąca na prostej zawsze da się przeprowadzić tylko jedną prostą równoległą do tamtej i można bezwzględnie polegać na arytmetyce. Nawet sprawiedliwość jest tam pedantyczna, daleka od namiętności, wyzuta z natchnionego rozmachu.

Zasada meandra czyni z ulic miasta chaotyczny labirynt, powołując niezliczoną ilość nałożonych na siebie i przenikających się figur rozmaitego kształtu, z których każda okaże się częścią większej całości. Miasto podporządkowane zasadzie meandra jest pełne kuszących lub odpychających możliwości, smakowitych lub obrzydliwych resztek, pociągających lub odrażających zapachów, pomieszanych dźwięków; szyld na szyldzie, riksza za rikszą, bez jednego centymetra wolnej przestrzeni. Z każdego placu na sąsiedni prowadzi rozmaitość dróg, od której mieszkańcom kręci się w głowach, przez to ich oczy są rozbiegane, a umysły nieustannie zaśmiecone porównaniami. Wszystko okazuje się względne, a śledzenie stosunków wynikania, przypisywanie skutkom przyczyn, wytyczanie linii równoległych, nie mówiąc już o wymierzaniu sprawiedliwości, w ogóle nie jest tam możliwe.

Miasto, Przestrzeń, Obraz
świata

Mieszkańców miasta zbudowanego na planie gwiazdy nigdy nie dosięgnie konieczność wyboru. Gwiazda powinna być pięcioramienna, stanowi o tym osobna reguła. Z każdego miejsca wychodzi tylko jedna, najważniejsza droga. Patrząc spokojnym wzrokiem prosto przed siebie, co nadaje ich twarzom wyraz niezachwianej pewności, mieszkańcy zmiatają po liniach prostych ku centralnemu polu, leżącemu w środku. Tam jest serce miasta. Stamtąd wszystkich ich widać jak na dłoni, niczego nie będą mogli ukryć nawet w kieszeniach. Miasto zbudowane na planie gwiazdy nie ma tajemnic. Można je w mgnieniu oka przejrzeć na wylot razem z jego wnętrzami, a także instalacjami telefonicznymi, kanałami burzowymi, ciągami piwnic. Zawiera w sobie trwały zapis porządku świata oraz nieoceniony gotowy schemat ocen, jakie będą w nim przypisane rzeczom. Waga przedmiotów umieszczonych na szalkach zależeć w nim będzie w najmniejszym stopniu od ich rozmiarów i ciężaru właściwego, w największym zaś od wnikliwej oceny lub od decyzji ze stosowną pieczęcią. Od faktów dokonanych bardziej doniosłe, godne pochwały lub wzgardy, mogą okazać się te, które nie miały miejsca.

Nie wiadomo, skąd bierze się meander, obcy trzeźwemu rachunkowi, wspierającemu ruchy ekierki, lecz równie obcy świetlistym rojeniom. Na czystym papierze najłatwiej o prostokąty. Za sprawą mechanicznych właściwości przyrządów kreślarskich same z siebie mnożą się na nim, nie zostawiając miejsca na nic innego. Gwiazdy zaś rodzą się w umysłach. Tam, z dala od gruntu, od tego siedliska mrówek i dżdżownic, rozbłyskują nagle, a szalone ich promienie przesywają ciemność. Twórcy projektu myśleli o miście, które połączy w sobie właściwości prostokąta i gwiazdy. Stworzy pozory kątów prostych tak oczywiste, by ukryta w ich tle zasada gwiazdy, nadająca kierunek zdarzeniom, nigdy nie objawiła się oczom mieszkańców. By wzrok chodzących ulicami na zawsze pozostał jasny i ufny, gdy tymczasem schemat ocen przypisywanych rzeczom da się regulować w myśl przyjętych zawczasu prawideł. Lecz miasto, pomyślane jako ucieleśnienie zasady prostokąta i zarazem skryte odbicie idei gwiazdy, ulegając nieprzewidzianym naprężeniom, zaczęło samoistnie skłaniać się z wolna ku regule meandra.

Pokrętny jego kształt jest świadectwem oporu, jaki istocie meandra stawiały popołu liniał z ekierką i myśl kierująca ruchem ołówka. Każdy z promieni gwiazdy zakrzywił się w polu przyciągania każdego z prostokątów i wymykając się z tej pułapki kreślił nieczytelne linie, by zaraz znów próbować prostej drogi, i po raz kolejny, i zawsze na próżno. Zawilość rysunku dowodzi, że utkanego z marzeń planu gwiazdy nigdy się nie da połączyć z przyziemnym porządkiem kątów prostych, biorącym się z linii kreślonych na papierze. Między polami sił prostokąta i gwiazdy może się co najwyżej ustalić stan chwiejnej równowagi, ledwie dającej się utrzymać wśród meandrów płomiennej idei i chłodnej kalkulacji.

A zamysł wytyczenia linii? Czemu zaczęto je rysować, nie czekając, aż same zajmą swoje miejsce w przestrzeni? Każąc rysować linie, budowniczo wybrali jedno z możliwych założeń, pozostających kwestią wiary. Choć pozostało niewypowiedziane, nietrudno je odczytać z rysunku. Głosi ono, że to nie siła kiełkujących nasion i nie ciśnienie soków krążących między korzeniem a koroną daje życie światu, tylko w ruch wprawiają go motory, przekładnie i koła zębate, urządzenia napędzające obroty słońca i gwiazd, ciągnące chmury po nieboskłonie, toczące wodę przez koryto rzeki. Przejrzystość i prostota tego pomysłu przez długi czas wydawała się olśniewająca. Liczono na to, że jeśli świat jest maszyną, da się go rozkładać na części. Usuwanie tych, które nie sprostały założeniom, okaże się wtedy najłatwiejsze na świecie: można je będzie wyjmować i wymieniać, nie zawracając sobie głowy czymś takim jak delikatne przepływy, od których miałyby zależeć równowaga całości, gdyby świat był podobny raczej do drzewa. Inaczej mówiąc, miasto, które by miało łączyć w sobie zasadę prostokąta i gwiazdy, potrzebowało dla siebie świata, który jest maszyną. Twórcy projektu korzystali z przywileju nieomyślności, ich najgłębsze prawdy nie poddawały się wątpieniu: niesprawdzalne, bo nigdy nie były ogłoszone.

Jeśli świat jest drzewem, dzielenie go na części musiałoby zamknąć przepływ tego, co ma płynąć. Jak drzewo z przeciwdrzewem, tak każda na świecie rzecz połączona jest z przeciwrzeczą, a wszystko co widoczne jest powiązane z czymś co niewidoczne. Odcięcie rzeczy od przeciwrzeczy jest możliwe, lecz tylko w sposób mechaniczny. Podczas takiego zabiegu życie musi ulecieć z obu części: tej widocznej i tej niewidocznej. Nie zawsze,

Obraz świata, Drzewo,
Maszyna

twierdzą niektórzy, nie w każdym przypadku. Oni także, być może, coś wiedzą. Lecz jeśli przetrwają dwie części w taki sposób rozdzielone, całość zapewne okaże się maszyną.

Niewiedza sprawia, że kiedy myślimy o świecie jak o drzewie, jest drzewem, kiedy myślimy o nim jak o maszynie, staje się maszyną. Od tego jednak, czy w istocie jest maszyną czy drzewem, zależą skutki wszelkich działań. Nikt nie wie, jakiej trzymać się prawdy. Całości nie są opatrzone żadnym rozstrzygającym znakiem, żadną sentencją, do której można by się odwołać. Kto tylko powie „jest drzewem”, z miejsca pomyśli o maszynie, kto powie „jest maszyną”, pomyśli od razu o drzewie. Słowa „jest drzewem” i „nie jest drzewem” znaczą tyle samo. Czyż nie byłoby lepiej, gdyby rację mieli twórcy projektu? Wierzono w swoim czasie, że pewność tak bezgraniczna, jaka była ich udziałem, uchyla niewiedzę. Że taka pewność jest zdolna narzucić światu prawa, które nim będą rządziły. Tak czy inaczej, oddzielanie rzeczy od przeciwrzeczy na początku okazywało się do pewnego stopnia możliwe. Maszyna nie ma w sobie niczego, co mogłoby przy tym ulec uszkodzeniu. Jest martwa ze swej natury i od początku istnienia. Po zdjęciu obudowy widać wszystkie części. Nawet reguły ich psucia się są wystarczająco przejrzyste. Wiadomo, że mają związek z przenikaniem kurzu i wilgoci do wnętrza mechanizmu. Jeśli świat jest maszyną, trud oddzielania rzeczy od przeciwrzeczy trzeba zaczynać od zbudowania szczelnej obudowy. Od konstrukcji sklepienia, od oparcia go na twardym gruncie. Wtedy rozstąpią się wody górne i dolne i będzie wiadomo, gdzie góra a gdzie dół, i co jest porządkiem i stałością, a co zmianą i chaosem. I dopiero wtedy można będzie odróżnić dzień od nocy.

A przecież szczelność obudowy, warunek przetrwania mechanizmu, sama stanie się przyczyną kolejnych komplikacji. To, co chroni mechanizm przed kurzem i wilgocią, zagrazi mu przegrzaniem. Im więcej wspomagających urządzeń, tym więcej ruchu i tarcia. Tym więcej osiadłego w nich pyłu i tym więcej skroplonej pary. Zapewne rdza zaczynała je nadgryzać od wewnątrz, nie czekając ani chwili. Ostateczne oddzielenie ruchu od tarcia, ciepła od zimna, dobra od zła wymagało stworzenia niezniszczalnych instalacji do odprowadzania pary i pyłu poza kopułę nieba, wprost do błękitnych wód kłębiących się po tamtej stronie. Zadanie uwolnienia miasta od niebezpiecznego wpływu przeciwmiasta sprowadzało się do kwestii zasilania tych urządzeń. Ochrona bezpiecznej suchej przestrzeni pod sklepieniem nieba wymagała stałej pracy potężnych elektrowni, nie mówiąc już o uruchomieniu wyrobu gumy do uszczeltek.

Miasto rozpościerające się na kartonie kreślarskim miało w sobie coś uroczystego. Zaprojektowano je z myślą o słonecznych dniach i nawet nie było wiadomo, jak miałyby w nim wyglądać niepogoda. Nie przewidziano też miejsca dla wałających się po śmietnikach odpadków kuchennych. Chodniki z równych płyt miały przypominać pokratkowany papier albo też odwrotnie: papier w kratkę udawał płyty chodnika. Przy jednej z ulic mieściło się przedszkole, drugą chodzili murarze w spodniach pobrudzonych wapnem, na trzeciej orkiestra grała na błyszczących trąbkach. Zadbano o to, żeby słońce świeciło i na murarzy, i na przedszkole, ale najjaśniej miało świecić na trąbki. Wszystko to można było obejrzeć również na fotografiach w prasie codziennej. Znużeni murarze w czapkach nasuniętych na oczy, czekając na tramwaj, przez szybę kiosku oglądali w gazetce, tuż pod winietą, uśmiechniętych murarzy grających w warcaby w robotniczej świetlicy w sobotę po fajrancie, albo natchnionych murarzy rozwiązujących piętrowe ułamki na tablicy w szkole dla dorosłych, albo szczęśliwego murarza, który objaśnia swojej dziewczynie sposób wylewania stropów.

Gazetowe zdjęcia stykały się z naszym światem powierzchnią papieru, miały zaś własną głębię, w której w tekturowych walizkach z podrdzewiałymi od wilgoci blaszanymi okuciami, pod piętrowymi łózkami w dwudziestoosobowych sypialniach, zamiast spranych barchanowych kałesonów i owiniętego w zatłuszczony papier prowiantu leżały książki o życiu murarzy. Cóż bowiem mogło być w owym świecie pod powierzchnią papieru ciekawszego dla murarzy niż praca murarza i niż jego myśli? To samo, rzecz jasna, dotyczyło tokarzy, odlewników, monterów, którzy żyli szczęśliwie w tamtym świecie pod powierzchnią papieru. Gazety pojawiły się na świecie w pierwszej kolejności, ledwie powołano ich wszystkich do istnienia. Przestrzeń pomyślnych wiadomości, otwierająca się pod powierzchnią gazetowego papieru, była niezbędna do odepchnięcia przeciwrzeczy pełnej cierpkich pytań.

Maszyna

Miasto, Słońce, Idealista

Pierwotny plan miasta zawierał rysunek wielu symetrycznie rozmieszczonych kwadratów, łączących się harmonijnie z wielką centralną rozetą. Należy odnotować, że dla doskonałości akustyki uczyniono wszystko co było możliwe. Wieniec megafonów rozmieszczonych w sercu miasta wystarczał do nagłośnienia wszystkich ulic. Strzelisty pałac wzniesiony w centralnym punkcie był pełen marmurów i luster. Z sufitów tak wysokich, że ledwie widocznych i zawsze jakby zamglonych, zwisały się kryształowe żyrandole, rozłożyste jak fontanny. Lustra, niewiele mniejsze od ścian, na których wisiały, odbijały odbicia i powielaly je w nieskończoność. Kilometry posadzek uciekały w głąb lustrzanych przestrzeni, w ten bezkresny świat, odgradzony od naszego lśniącej powierzchni. Nieprzeliczone szeregi sprzątarek pracowały bez wytchnienia we wszystkich lustrach naraz, pastując podłogi od rana do wieczora w każdym dniu miesiąca. I zawsze, zanim zdążyły skończyć tę robotę, musiały zaczynać od początku. Było tam dziesięć tysięcy par drzwi, z których przynajmniej połowę od razu zamknięto na klucz, nie po to bowiem istniały, by było można chodzić tam i z powrotem, tylko dla symetrii. Ta zaś, podniesiona do rangi nadrzędnego założenia projektu, jasno wyrażała ideę mechanicznej równowagi świata. Zajrzawszy do tych wnętrz, każdy murarz, maszynista i odlewnik zdejmował z głowy czapkę i gniótł ją w spracowanych rękach, wodząc zdumionym wzrokiem po żyrandolach, po marmurach, a zerknąwszy przypadkiem w lustro w złotych ramach, niepewnie wycofywał się tyłem — ku wyjściu.

Z parteru na najwyższe piętro mknęły windy szybkie jak pocisk, obsługiwane przez windziarki ze srebrnymi guzikami, siedzące na złotych stołkach. Z zawrotnych wysokości tramwaje w dole były małe jak pudełka zapalek, ludzie — jak mrówki, a gołębi wcale nie było widać. Ów leżący w dole miniaturowy świat graniczył bezpośrednio z podniebną przestrzenią najwyższych pięter i tylko stamtąd był widoczny. Nielatwo byłoby wtargnąć na miniaturowy plac, przez który przejeżdża miniaturowy tramwaj. Trzeba by wybić szybę w oknie zamkniętym na głucho, wychylić się na zewnątrz, usłyszeć świst wiatru i zadać sobie pytanie, czy właśnie tego się pragnie. Kto bowiem znajdzie się nagle w tym świecie, w którym wszystko jest tak małe, może tam tylko umrzeć.

Sięgający nieba gmach w niektóre mroźne dni podobny był do szklanej góry zwieńczonej iglicą o lodowym połysku. W dni mgliste zaskakiwał przechodniów: z nagle wypływał z bieli i ukazywał się przez chwilę bardzo blisko, ogromny, ogromny, a potem równie szybko znikał. Choć zadbano o to, żeby górował nad wszystkimi innymi budowlami, nie był widoczny zawsze jak na dłoni. Ale to w nim biło serce miasta. Wieczorem pustoszał całkowicie i zamykano go na klucz, odłączając w ten sposób serce od organizmu. Widocznie w nocy serce nie było miastu potrzebne. Czym bowiem byłoby dla tej maszyny serce, jeśli nie główną pompą i centralnym zaworem, miejscem, gdzie regulują się ciśnienia przepływu tego, co ma płynąć? Jeśli ciemność przeszkadzała twórcom planu mieć to wszystko na oku, zrozumiałe jest, że nocą przepływ musiał być wstrzymany.

W porze, gdy zamykano na klucz centralnie położony pałac, z jego wyżyn można by w dole widzieć wszędzie wokół rzędy okien, w których zapalały się światła. W cienkim blasku najślabszych żarówek stały, jak w domkach dla lalek, kredensy malowane olejną farbą, takie też stoły i krzesła. Widać byłoby nawet słoje z ogórkami, butelki po piwie i okruchy chleba. Szarawa bielizna suszyła się na sznurach, para buchająca z czajników skraplała się pod sufitem, gdzie zaczynały już wykwiatać rdzawe zacieki, a przez kłęby tej pary widać byłoby kobiety w szlafrokach, z papilotami na głowie, i nieogolonych mężczyzn w rozciągniętych podkoszulkach. Cóż to byli za ludzie i skąd się raptem wzięli? Gdyby ktoś obserwował ich uważnie z niebotycznych wysokości, czy rozpoznałby w nich murarzy i sprzątaczkę, monterów, pielęgniarki i konduktorki?

Ale najwyższe piętra pałacu, z których roztaczał się ten rozległy i przy tym tak zdziwiająco szczegółowy widok, po zmierzchu były bezлюдne tak jak wszystkie pozostałe. Twórcy projektu tam nie zamieszkali. Wyżsi ponad pospolite potrzeby, podobno obywali się bez czajników, bez kredensów, bez firanek, nie chcieli sznurów do suszenia bielizny ani kiszonych ogórków w słojach. Zapewne nie mieszkali nigdzie. Albo też mieszkali wszędzie, wypełniając swoim istnieniem całą przestrzeń, lecz tylko tak, jak muzyka mieszka w salach koncertowych. Może to właśnie oni świecili w żarówkach, łopotali w chorągwiach, oni też może tykali w zegarach. Oni to, wisząc na ścianach i przenikliwie

spoglądając przez szkło oprawione w ramki, każdego dnia samą mocą spojrzenia narzucali rzeczom właściwy kierunek. I pod tym surowym spojrzeniem sprzątano bez wytchnienia, niezmordowanie segregowano dokumenty, czyszczono i smarowano maszyny. Po to właśnie każdego dnia mechanicy, urzędnicy, sprzątaczk i wszyscy inni wstawali z łóżek i ubierali się w stroje, które szwaczki dla nich uszyły. Po to piekarze piekli dla nich bułki, po to motorniczowie prowadzili tramwaje, po to murarze stawiali dla nich domy. A dzieci wszystkich tych ludzi po to uczyły się w przedszkolach tego miasta sznurować buciki, po to jadły, wymachując łyżkami, przypaloną owsiankę na mleku, by szybko dorosnąć i zasilic posuszne szeregi.

Sprzątanie i naprawy, naprawy i sprzątanie, żmudne powstrzymywanie chaosu i wypychanie go na zewnątrz — wszystko to po brzegi wypełniło dni mieszkańców, nawet jeśli oni sami wyobrażali sobie, że robią coś innego: że zarabiają pieniądze na życie i starają się sprostać jego trudom. Jeśli miasto nie mogłoby przetrwać bez instalacji do usuwania tego co zbędne i szkodliwe, oni się o to nie martwili, żyli bowiem w przekonaniu, że maszynieria świata jest niezniszczalna. Dla tej to pracowitej rasy o prostych pogodnych umysłach przeznaczone były ulice, place i ogrody, dla niej posadzki z marmuru, a nawet lustra w złotych ramach. Dla niej to czasy owe otwierały się szeroko ku rozległym przestrzeniom przyszłości, ku jej bezkresnym płaskowyżom, gdzie wyrastały coraz to wyższe i wyższe kominy, a dalej wyższe od najwyższych i od nich także wyższe. Wydawało się, że w przyszłości wysokość kominów nie będzie miała granic. Właśnie z nimi wiązał się zniewalający czar przyszłości, tej dalekiej krainy rozpościerającej się zawsze nieco w górze, w miejscu, ku któremu wznosiły się z nadzieją oczy murarza i hutnika z plakatów rozlepionych na ogrodzeniach placów budowy.

Z początku zasoby wiary i sił wydawały się równie niewyczerpane jak złoża węgla. Zasoby te — jak węgiel — leżały gdzieś w dole, pod nogami hutnika i murarza, które to nogi, rozstawione szeroko, wyrażały pewność płynącą z prostodusznej wiary. Tak to wiara i siły, przez sam kontakt nóg z gruntem, wypełniały serca dzielnych i pracowitych ludzi wpatrzonych w owo miejsce tam w górze. Twórcy projektu nie musieli żałować rąk, mając ich do dyspozycji bez liku. Ulegli pokusie, by oprócz porządku stworzyć piękno, oprócz posłuszeństwa narzucić zachwyty, dlatego, mimo nawału prac niezbędnych do rozruchu świata i do utrzymania go w porządku, podjęto żmudne prace nad zdobieniami. Pojawiły się zatem rzeczy, których piękno miało wznieść się wysoko ponad kołowrót codziennych powinności, powołane do istnienia nie po to, by służyło przyziemnym celom. Dzięki nadwyżce wiary i sił attykami zwieńczono frontony, płaskorzeźbami ozdobiono fasady, kamienne posągi stanęły w niszach murów. Postacie z kamienia nosiły ubrania uszyte przez kamienne szwaczki, kamienne koszule z podwiniętymi rękawami i kamienne spodnie. Stały zastygłe w bezruchu, patrząc przed siebie wypukłymi oczami bez źrenic, z kielnią w rękach, z kilofem na ramieniu. Była to rasa o kamiennych dłoniach, żywiąca się bułkami z kamienia: najtwardsi z majstrów, jakich widział ten świat.

We wnętrzu kamiennych kieszeni do dziś leżą kamienne dokumenty z fotografią i stemplem biura meldunkowego, kamienne zaświadczenia i kamienne listy pochwalne, których nikt nie mógłby przeczytać: lite wnętrze kamienia należy do innego, kamiennego świata. Do niedostępnego świata, którego substancja jest jednością. Materia ścięgien i mięśni jest tam równie twarda jak koszula i fartuch. Nie ma żadnej granicy między sercem a dokumentem spoczywającym w górnej kieszonce, między głową a czapką, między ręką a narzędziem.

A przecież to nie oni, najtwardsi z majstrów, u początku świata z cegieł, blachy i tynków wyporządkowali cuda tego miasta. Być może obraz kamiennej doskonałości potrzebny był tylko po to, żeby budowniczo wie znali swoje miejsce. Żeby stawiając ich wobec porównania, któremu nigdy nie sprostają, narzucić pokorę i posłuch. Doskonałość miała pozostać przedmiotem podziwu, niedoścignionym wzorem i przykładem. Na każdego z kamiennych murarzy przypadały tysiące innych, uwijających się na placach budowy, którym można by było wypomnieć, że od roboty mieli na rękach paskudzące się pęcherze. Ich dokumenty, w czasie gdy bili rekordy na rusztowaniach, leżały pod kluczem w biurku kierownika hotelu robotniczego, jako zastaw za koce pobrane z magazynu: inaczej mogłoby wziąć ze sobą te koce i zniknąć, porzuciwszy pracę bez przyczyny. Twórcy projektu czuli być może, że postawili przed tymi ludźmi zadania zbyt wielkie i zbyt zasad-

nicze jak na lichy gatunek substancji, z której powstali. Każdy z wyróżnionych za zasługi, był, prawdę mówiąc, zasłużony ledwie nieco bardziej od dziesięciu innych, których pominięto, i na każdego przypadało dziesięć tysięcy takich, którzy tylko raz w życiu mieli okazję w święto zobaczyć go z daleka na trybunie, gdy wyciągali szyję, stojąc w tłumie.

Aby pamięć trudu nie przeminęła, a jego cel został właściwie pojęty przez łagodne morze głów nakrytych czapkami, zegarkiem nagrodzono rękę, która położyła pierwszy tyśnięć cegieł, i tę, która dokonała pierwszego spustu stali, i tę, która wprawiła w ruch pierwszą obrabiarkę. Sfotografowano odsłonięte w uśmiechach przednie zęby i marynarki ozdobione szarfami ze stosownym napisem. A pod marynarkami były jednogłośnie, spokojnie i równo ich serca, jak oczekiwano, niepodatne na arytmie ani na anawryzm, ani nawet na zwykłe znużenie, i nieustrudzenie tłoczyły krew do niebieskich żył nabrzmiewających na spracowanych dłoniach. Tak właśnie zaczęła się epoka pamiątkowych zegarków, a także pamiątkowych czajników i żelazek, epoka coraz to nowych napisów na szarfach, coraz to nowych twarzy na fotografiach i pucharów przechodnich, które nieustannie nadawano i odbierano, podczas gdy krój marynarek, rytm serc i rysunek żył na dłoniach pozostawały niezmiennie. Epoka ta w swym najwyższym uniesieniu zapłonęła czerwonym pluszem, rozwibrowała się drżeniem niezliczonych rzędów foteli zwróconych ku scenie spowitej w draperie, dźwigającej stół prezydyalny. Rozdźwięczała się nawalniami przemówień, a zwłaszcza grzmiącymi kaskadami oklasków, burzami braw, wypełniających ogromne sale zamiast muzyki, której żadna z nich, nie wyłączając opery, nie potrzebowała już wcale do życia. Skrzypienie butów w kularach, szepty, kaszlnięcia, brzęk naczyń w bufetach i blaszanych sztuców — wszystko to bez śladu ginęło w tle.

Maszynaria świata wtedy jeszcze działała gładko, bez zgrzytów i niespodzianek, tak jak maszynaria sceny, pozwalająca wprawnym rękóm przesuwać nieba wraz z gwiazdami i ze słońcem, i ziemię płaską jak talerz obracać przy pomocy specjalnej korby. W owych czasach młodości świata nawet to, co niemożliwe, okazywało się wykonalne. Miasto rosło z chwili na chwilę. Na planszach projektów kolumnady sięgały czwartego i piątego piętra, były wodotryski, a w górze rozpościerały się wiszące ogrody i przelatowały śmigłowce służb miejskich, dla których lądowiska przewidziano na rozległych jak place dachach. Pod ziemią zaś sunęły cicho poduszki ledwie dotykające szyn.

A tramwaje, tramwaje, tramwaje jeździły od świtu do nocy z jednego przedmieścia na drugie i z powrotem. Niepostrzeżenie sieć przewodów trakcji tramwajowej rozrosła się ponad wszelką miarę. Ustępowały przed nią wiszące ogrody, zmuszone cofnąć się z powrotem na karty projektów. Ujawniły się wody głębinowe, których skomplikowany system wpłynął na zmiany w rysunkach podziemnych instalacji związanych z ruchem poduszkowców. I okazało się nagle to, w co przedtem nie sposób byłoby uwierzyć — że liniom kreślonym na kartonach mogą zagrozić ciekły płynące gdzieś pod ziemią. Tak oto w mieście rosnącym na planszach zaczęły pojawiać się zmiany, których nikt wcześniej nie przewidział i które powstrzymały impet miasta rozbudowującego się w przestrzeni. Kominy jednak wciąż rosły w górę bez przeszkód, tak jak obiecywano — coraz wyższe, a z nich wydobywały się coraz okazalsze dymy we wszystkich odcieniach sadzy i siarki. Kominy były wszędzie, pojawiły się także na plakatach oblepiających ogrodzenia coraz to nowych placów budowy, gdzie, czarne i surowe, służyły za tło jaskrawoczerwonym literom, same podobne do wykrzykników. A wraz z nimi rosły pełne powagi hałdy żwiru, silosy z cementem, blaszane magazyny. I wydawało się, że to jest wszystko za mało, że ruch powinien być jeszcze szybszy, wykrzyknik dobitniejszy.

Czas ledwo nadążał za prędką myślą. Dni były już na wiele lat naprzód policzone i rozdysponowane, a jeśli w tych rachunkach były jakieś błędy, ich wykrycie nie oznaczało superaty. Można by powiedzieć, że dni zostały zużyte, zanim nadeszły, jak spodziewane aktywa, na których poczet zaciągnięto już długi. Czas, tak jak elektryczność, miał dającą się obliczyć wartość i jasno określone przeznaczenie. Zrobiono wszystko, co było można, żeby przyspieszyć jego bieg. Prawdopodobnie wykorzystano nawet pewne możliwości usprawnienia zjawisk astronomicznych. Nadeszła epoka, w której miasto było rozpędzone jak karuzela, ledwie wynurzyło się ze świtu, już spadało w ciemność, a z nim jego fabryki i huty, snopy iskier i duszące dymy, które w czerwonym świetle wschodów i zachodów słońca stawały się czarne jak smoła. Podczas gdy wytapiano kolejne tony żelaza, złom niszczał na ziemi, pod ziemią i w powietrzu. Bele świeżego papieru gazetowego wywożono od

Czas, Miasto

razu do drukarni, a gazety trafiały do śmietników jeszcze tego samego dnia. Tramwaje, ledwie zjechały do zajezdni, już musiały z powrotem wyjeżdżać na swoje trasy, latarnie, ledwie pogasły, już musiały się znowu zapalać. Zarost odrastał w mgnieniu oka między jednym i drugim porankiem, pościel na tapczanach zjawiała się i znikła, migając tylko bielą, jedna za drugą opróżniały się tysiące i dziesiątki tysięcy cystern benzyny i gazu. Nie było żadnej nadziei, że rozpędzone koło minionych i przyszłych zadań osiągnie wreszcie cel: dostatek papieru gazetowego i wszystkich innych rzeczy, których zachłannie żądało miasto. Że wreszcie się ono nasyci.

W tym szalonym pośpiechu nikt nie rozglądał się dość uważnie, by śledzić tła i drugie plany. Toteż myśl kierowała się pozorami i coraz trudniej było rozpoznawać to, na czym spoczęło oko. W taki to sposób przemieszały się wszystkie światy. Ten, który graniczył z naszym światem powierzchnią gazetowych zdjęć, a miał własną głębię, i ten, który otwierał się w lustrach, i ten widoczny tylko z najwyższych pięter, w którym tramwaje były małe jak pudełka od zapalek. Tylko rozpościerający się we wnętrzu kamieni świat, do którego nie można zajrzeć, zachował swoje granice.

Choć przykro to przyznać, rozpęd stał się uciążliwy. Od ciągłego pstrykania przełącznikami psuły się tablice rozdzielcze, dlatego w końcu postanowiono, że nie będzie się gasić światła ani wyłączać maszyn. Nieprzerwana praca fabryk i elektrowni pozwoliła, nie bacząc na wszechobecne zmęczenie, jeszcze przyspieszyć bieg czasu. Pędził z prędkością dwudziestu czterech klatek na sekundę, z taką też prędkością czarno-białe obrazy fabryk, elektrowni i hut przepływały z cichym szumem projektora, tak długo, aż wreszcie ruch ustawał i na ciemnym tle ukazywał się biały napis KONIEC.

Albowiem wszystko, co ma początek, ma też koniec. Długością taśmy filmowej nie rządzi przypadek. Musi być odmierzona dokładnie: tak, żeby dało się ją nawinąć na szpulę, a po wyświetleniu schować z powrotem do okrągłego blaszanego pudełka. Żarówka projektora świeci przez przewidzianą liczbę godzin, by przepalić się w swoim czasie, tak jak poprzednia. Gdzieś podziewają się fabryki i elektrownie po projekcji? Ulegają rozproszaniu. Pewien ich aspekt trafia do blaszanego pudełka, inny trwa pod powiekami widzów wstających z krzesel. Jeszcze inny wyraża się w kablu, łączącym projektor z gniazdkiem elektrycznym i poprzez gniazdko z całą maszyną świata, która istotnie w pewnym okresie pracowała szybko i sprawnie, a potem — nie wiadomo kiedy — zaczęła zwalniać. Rozpęd ma bowiem początek i koniec, jak wszystko inne.

Prawa, na których w swoim czasie oparto plany rozwoju świata, głosiły, że to, co szybko wzrasta, będzie wzrastać jeszcze szybciej. Że eksplozja na zawsze wyklucza implozję, ruch nie zna bezruchu. Oparte na tych prawach rachunki dawały z początku przybliżenia wystarczająco dokładne, by nie dochodziło do awarii. Gdy awarie zaczęły zdarzać się coraz częściej, kwitowano je wzruszeniem ramion, jeszcze przez długi czas uparcie trzymając się starych założeń. Aż któreś wiosny, a może jesieni, stało się jasne, że to właśnie te niepodlegające wątpliwości założenia prowadzą do błędów, które mogą zniweczyć rozmach projektów. Nie uwzględniono w nich poprawki na niestałość fortuny, która toczy się kołem, na zmienny bieg spraw tego świata, na nagłe i nieprzewidziane kaprysy losu. Nie brały pod uwagę przypadkowej przeszkody, która zatrzyma myśl w locie, nie chciały nic wiedzieć o drganiach, przez które ryczące megafony miałyby rozpaść się na kawałki. Im większego przyspieszenia nabiera rozpędzony tramwaj, tym wcześniej musi się zacząć hamowanie, inaczej nastąpi katastrofa. Dźwig, unosząc co dzień większe ciężary, nieuchronnie się w końcu zawali. Zmęczenie materiału nagle ukaże swoje zaawansowane stadia. Krzywa wzrostu prędzej czy później napotka brzeg planszy i zawisnie w powietrzu.

Świadomość tego stanu rzeczy narastała stopniowo i nie wstrząsnęła fundamentami miasta. Zdumienie rozłożyło się na długi czas, kiedy to niektórzy zaczęli się czegoś domyślać, a inni nie chcieli o tym słyszeć. Porzucano powoli stare wyobrażenie o naturze rzeczy i z cicha upowszechniało się nowe, w myśl którego to co wielkie — będzie małe, nie zaś jeszcze większe; to co pełne, będzie puste, a to, co wyrasta wysoko, zapadnie się pod ziemię. Rachunki oparte na tych wcześniej nieznanymi, cierpkich, gaszących entuzjizm domniemaniach, w praktyce dawały przybliżenia jeśli nie doskonałe, to w każdym razie nieco dokładniejsze, i choć nowe założenia gasiły wiarę i nadzieję, z czasem wyparły te wcześniejsze. Każdy, kto się do nich przekonał, raz na zawsze mógł uwolnić się od

Rozczarowanie,
Przemijanie, Starość

pośpiechu, ochłoniąc z gorączki, a usta same układały mu się w ironiczny półśmiejch. Nie kiwnąwszy palcem, osiągał to, co przedtem musiałby okupić trudami i cierpieniem: fiasko.

Czy wzięcie poprawki na zmęczenie materiału powinno być oceniane jako przejaw małoduszności? Czy ugodowość wobec naturalnej skłonności urządzeń do psucia się i rdzewienia można nazwać cynizmem? Co było nowe, będzie stare. Nawet najprostsze koła zębate zmierzają od nowości ku starości. Wycierają się z czasem i coraz większą ilość energii zamieniają na coraz mniejszą liczbę obrotów. Tryby świata zwalniały, zarówno z powodu zużycia elementów, jak za sprawą słabnącego zasilania. Wolniej obracały się nieba z gwiazdami i ze słońcem, nawet chmury sunęły wolniej, niemrawo ciągnięte na niewidocznych sznurkach przez zdezelowany motor. Mieszkańcy miasta umieli zreperować tylko to, czego mogli dotknąć. Ukryte instalacje pozostały poza zasięgiem ich rąk, choć to od tych właśnie części zależeć miał przyszły los całości.

Najwięcej energii zużywały instalacje przeznaczone do odprowadzania chaosu poza granicę porządku. Ustępliwie uznano konieczność zapewnienia miastu ich nieprzerwanej pracy — nawet kosztem dźwigów, tokarek, tramwajów, oświetlenia. To one, te leżące poza zasięgiem wzroku najważniejsze elementy infrastruktury, pierwsze zawodziły, gdy zasilanie zaczynało szwankować. A przecież nie było urządzeń ważniejszych niż te. Od nich zależało wszystko, jak od sprawności pomp zależy przetrwanie parowca z dziurawym dnem pośrodku oceanu. Być może bez nich miasto przestałoby istnieć w mgnieniu oka, zatopione przez burzliwe fale przeciwności.

Najbardziej odporne na rozprzężenie okazały się zegary i zegarki: nie potrzebowały stałego zasilania. Wystarczyło, by ktoś pamiętał o nakręcaniu. Lecz ruch wskazówek już nie nadążał za chwilą obecną. Na każdy ich obrót wokół tarczy przypadała coraz mniejsza liczba obrotów kółek zębatach we wszystkich innych urządzeniach. Różnica, choć z początku nie bardzo duża, i tak dawała o sobie znać w sprawozdaniach. Na przykład tokarki, które były dumą czasów rozruchu i rozwoju, przy niewielkim spadku obrotów zaczynały wypuszczać same wybrakowane części, co komplikowało montaż i hamowało rozpęd taśmy produkcyjnej. Z pewnego punktu widzenia z maszynami było wszystko w porządku, lecz dla kół zębatach czas płynął już inaczej niż w pięknych czasach ich nowości, z tej też przyczyny zmniejszyła się liczba ruchów rąk przypadająca na minutę. Pracujący przy taśmach byli z tego zadowoleni. Nieoczekiwanie okazało się, że mieszkańcy tego miasta wolą próżnować niż pracować.

Dniówki nie mogły pomieścić w sobie wszystkiego, od czego zależało utrzymanie świata w porządku: odkurzania, froterowania podłóg, reperowania klamek, mycia okien. Niespożyte siły uległy wyczerpaniu, nie wiadomo kiedy. Wiosenne porządki mieszkańcy miasta odkładali z dnia na dzień, aż lato miało się już ku końcowi i zaczynały żółknąć liście. Do obiadu siadali po zmierzchu, kiedy zupa już dawno wystygła. Zawsze widzieli przed sobą spiętrzone zaległości niemożliwe do odrobienia i wszyscy mieli na sumieniu karygodne zaniedbania. Na twarzach zastygał grymas napięcia. Przy kuchennych stołach, gdzie właściciele parujących czajników popijali herbatę z wyszczerbionych kubków, wyrzekano na twórców projektu i nie ufano już nikomu. Pod sznurami z suszącą się bielizną, tu i ówdzie nadprutą, podawano w wątpliwość intencje tych, co stworzyli miasto i pałac z iglicą sięgającą chmur — w którym sami mogliby zamieszkać, gdyby tylko chcieli. Śmiano się z naiwnej wiary, że odmówili sobie przepychu marmurów i luster, gdy wejścia w ich posiadanie nikt by im nie mógł zabronić, i wyrażano przypuszczenie, które samo się narzucało: że twórcy projektu wzgardzili tym wszystkim dlatego jedynie, że potajemnie urządzili dla siebie inne wnętrza, jeszcze wspanialsze od tamtych, marmurowych i lustrzanych, i żyją w nich otoczeni bajecznym zbytkiem, być może gdzieś pod ziemią, tak głęboko, jak wysoko sięga iglica.

Miasto zaczęło budzić w swoich mieszkańcach nigdy niegasnące zniecierpliwienie. W kuchniach sztychano z daremnego trudu froterowania podłóg i z marszów wygrywanym na złotych trąbkach, z tokarek, z wielkich pieców, a nawet z poczekalni pomalowanych żółtą farbą olejną. W razie potrzeby linoleum mogło przykryć zużyty parkiet, kawałek dykty zastąpić szybę, a gazeta stłuczony klosz od lampy. Nikt już nie szukał odpowiedniego klosza ani szyby przyciętej na wymiar futryny, odkąd mieszkańcy miasta

Czas, Praca, Robotnik

Rozczarowanie, Ruiny

zaczęli się domyślać, że każdą rzecz można od biedy zastąpić byle czym. Odkryli, że i słowo można zastąpić innym, pierwszym z brzegu słowem, nie troszcząc się o znaczenie. Wszelką niedoskonałość kwitowali drwiącym śmiechem. Nie dbali już o to, co wspólne, ani o rzeczy, ani o słowa: chcieli tylko świętego spokoju.

Bronili się, jak umieli, przed tym zachłannym miastem, przed tą wielką pijawką wysysającą ludzkie siły. Palili, nie wyjmując papierosa z ust, niedopałki rzucali gdzie popadło. Skracali sobie drogę, depcząc miejskie klomby. Unikali sięgania do wyłączników, marnując prąd — tak oszczędzali sami siebie. W gazetach czytali tylko nagłówki, a i te nieuważnie. Uchylali się od wszelkiej fatygi, każdą konieczność stawiając pod znakiem zapytania, dlatego nawet kiedy uskakiwali przed rozpędzonym tramwajem, to chwilę za późno. Zdezelowane karetki dowoziły ich na nieczynne, odłączone od prądu stacje pogotowia, i tam ich zostawiały. Nie było już zwyczaju litowania się nad ofiarami wypadków i nad okpionymi przez los. Wszyscy czuli się okpieni — więc komu mieliby współczuć? Wielkie nadzieje opuściły to miasto i jego mieszkańcy zostali sami na świecie. Okazywali się arogantami i kanalami, upijali się, uwodzili i porzucali, sprzeniewierzali pieniądze, pisali donosy i płakali. Nikt już nie wiedział, czy doskonałość tego miasta miała na nich spłynąć, czy też — na odwrót — musieliby najpierw sami osiągnąć doskonałość, żeby móc w nim żyć. Jeśli twórcy projektu patrzyli na to wszystko, zadawali sobie być może pytanie, czy słabość jest defektem rasy, czy skutkiem urbanistycznego błędu.

Mieszkańcy miasta, choć prawie nic ich już nie obchodziło, głęboko odczuwali drażliwość tej kwestii. Siedząc przy kuchennych stołach nad stygnącą herbatą, zaczęli się domyślać niepokojącej tajemnicy: byli potrzebni tylko do czarnej roboty. Od plemienia, którego doskonałość wywiedziono z założeń i które podobno miało w przyszłości zaludnić miasto, oczekiwano więcej niż to, do czego byli zdolni. Ich skóra była zbyt wrażliwa, kości zbyt kruche, ich umysły zbyt łatwo ulegały znużeniu, a pragnienia uciekały to w tę, to w tamtą stronę bez ładu i składu. Ręka ledwo pasowała do uchwytu narzędzia, a serce było całkowicie oddzielone od reszty świata klatką żeber i powłoką skóry. Na czym tylko spoczęło oko, widziało obcość.

Pewne oznaki — takie jak entuzjastyczny ton głosu z megafonów, gdy towarzyszył masowym uroczystościom — sugerowały, że to właśnie oni, obciążeni tyloma defektami, mają wydać z siebie ową doskonałą rasę o żelaznej wytrzymałości i niespożytej energii, na zawsze wolną od niepewności i od lęku przed pustką, rasę, na którą miasto — być może — wciąż czekało. Wiedzieli, że nie czekało na nich: na zatrudnionych w miejscowych fabrykach i urzędach, zapisanych na listach meldunkowych i w księgach stanu cywilnego, udreńczonych niewygodami i pożądaniem wygod. Chorowali, łamali zęby, psuł im się wzrok i popadali w zadyszkę. Oczekiwania i nadzieje, jeśli jakiegokolwiek jeszcze z nimi wiązano, mogły ich tylko zirytować, a myśl, że miałyby się urodzić dzieci ulepione z innej, lepszej gliny, niepodobne do rodziców, budziła w nich odrazę.

Z innych znów oznak, na przykład z kąśliwych uwag o lenistwie tokarzy i monterów, które zamieszczały fabryczne gazetki ściennie, mieszkańcy tego miasta mogli wnioskować, że są gatunkiem przejściowym, na którym postawiono już kreskę, i że mają ustąpić miejsca jakimś wyższym istotom, które pojawią się same z siebie, kiedy miasto osiągnie doskonałość. Domyśły takie zrodziły niepokojące wizje wyprowadzki z wnętrza, w których stały obdrapane kredensy i świeciły słabe żarówki. Nikt nie chciał wynosić się z dobytkiem, z dziećmi, z psem i kotem z tego nieubianego miasta, jedyne, jakie mieli. Upokorzeni, zacinali się w gniewnym milczeniu. Na pojawienie się niemowląt z kamienia nikt nie czekał, tym mniej na przybycie nowych plemion, i wszyscy ponuro godzili się, by pozostało tak jak jest. Byli zresztą i tacy, od których mieszkańcy miasta mogli usłyszeć, że już od dawna jest doskonałe, o wiele za dobre dla tych szoferów, monterów, pielęgniarek i konduktorek, sprzątaczek i ich mężów mechaników, i całej tej hołoty.

Niespodziewanie objawiły się lodówki i pralki, jakby po to tylko, żeby poruszyć zobojętniałych, obudzić zapadających w sen, niektóre z nich, a może i wszystkie, od początku popsute. Objawiły się telewizory, w których wnętrzu za szklaną szybą oglądano ze zdumieniem czarno-biały, rozedrgany i zamazany świat, jakiego nikt nigdy nie widział. Jedne i drugie można było mieć w nagrodę za starania. I starania, owszem, podejmowano, inne od oczekiwanych, przy tym równie wyczerpujące. Coraz więcej nieporządku zakradało się do życia. W ciągu lat plan miasta skomplikował się. Zatarł się na nim pierwotny

wzór prostokąta i gwiazdy. Niewiele zostało z uroczystej symetrii projektu, tak jakby światu nie dostawało owej mechanicznej równowagi, której ideę miał odzwierciedlić i zarazem utrwalić na zawsze porządek rozwiązań architektonicznych. Z czasem przybywało na planie miasta coraz więcej różnych figur niejasnego kształtu, przecinających się i nakładających na siebie w sposób niewłaściwy i niepokojący. Niektóre ulice, dawniej proste i szerokie, kluczyły, zakręcając to w jedną, to w drugą stronę bez celu i kierunku, zdając się nie pamiętać, jakiej całości są częścią i pod jakim kątem mają się przecinać. W miejscu, gdzie wcześniej stała karuzela, pojawiał się nagle plac okrągły jak talerz, a auta dniami i nocą jeździły wokół niego w kółko. Tam, gdzie przelatywały jesienią klucze ptaków, wyrosła estakada, po której sunęły auta, jedno za drugim, ciężkie i niezgrabne, wśród chmur pędzących po niebie. Zatłoczony wiadukt wypuszczał zjazd, z którego, rozdzierając żelazną balustradę, jedno za drugim spadały ciężko w dół, prosto w głębokie kałuże, w których już wały się urwane błotniki, połamane felgi, i świeciła tęczowo benzyna.

Późniejsze szkice popadały niekiedy w sprzeczność z wcześniejszymi. Przed kolejnymi projektami piętrzyło się coraz więcej szczególnych wymogów i ograniczeń. Najnowsze rozrysowywano w wielu rozmaitych i wykluczających się wersjach. Ośmiopiętrowy blok rozbijał perspektywę ulicy, ale niski pawilon handlowy ulokowany w tym samym miejscu obrastał natychmiast krzywymi straganami, wnoszącymi ducha zamętu, bałaganu, anarchii. Podziemny garaż, wypływający kilkadziesiąt aut na minutę pod samą bramę szkoły, zdawał się wykluczać jej sąsiedztwo. Lecz zamykając ją, pozostawiono by bez dozoru okoliczne dzieci, przyzwyczajone do podpalania śmietników i rzucania kamieniami w okna. Każdy z projektów był pełen wad, lecz każdy miał choć jedną zaletę, dlatego kulawa całość, rozpościerająca się na planszach tych nowych projektów, dla utrzymania równowagi potrzebowała wszystkich ich naraz. Przestrzeń zyskiwała w ten sposób głębię o właściwościach niemożliwych do ogarnięcia umysłem. Dość powiedzieć, że park, wiadukt i dom towarowy mogły zająć to samo miejsce w przestrzeni, nie przeszkadzając sobie w najmniejszym stopniu, a ich alejki, ruchome schody i pasy jezdni krzyżowały się ze sobą, na razie w niepojęty sposób unikając kolizji.

Wszystko, co się działo na stołach kreślarskich, było w złożony sposób powiązane ze zmianami, jakie zachodziły w mieście z cegieł, gdzie tymczasem powstawały kolejne mosty, kolejne pomniki, kolejne zegary z kurantami. Ale mnogość przenikających się przestrzeni i natłok wariantów sprawiała, że żadne z tych dzieł nie miało już rozmachu dawnych przedsięwzięć z czasów młodości świata. Trzeba tu także zaznaczyć, że nowe kuranty brzmiały fałszywie, a ich dźwięk ledwo wybijał się ponad zgiełk ulicy. Wnętrza stały się ciasnawe, nie szafowano już marmurami, granitem i piaskowcem. Ozdobne attyki, gzymsy, płaskorzeźby — wyszły z mody. Ulegając znużeniu, miasto wyrzekło się ambicji.

W miarę narastania obojętności, ubywało pola widzenia. Coraz wyraźniejsze stawały się obrazy miasta, powstałe nie wiadomo kiedy, nie wiadomo ile razy odbite i w jakich powierzchniach, zanim objawiły się oku. Nieprzewidziane w projektach, pokątnym swoim trwaniem powiększały chaos. Miasto policjanta kierującego ruchem ulicznym było zbudowane z karoserii, podwozi, kół, z przednich świateł i kierunkowskazów, z niekończącymi się kolumnami przykręconych do tego wszystkiego tablic rejestracyjnych. Dla telefonistki oplątana kablami metropolia aparatów telefonicznych wyrastała z centrali miejskiej jak z ukrytego kłacza, natarczywe dzwonki rozlegały się tam raz po raz z wszystkich stron. W mieście pijaka nie było niczego oprócz falujących świetlistych smug i twardych kantów swobodnie unoszących się w przestrzeni. Najbardziej wyzute z nadziei było miasto umarłego: bez ogrzewania, wilgotne i ciemne, nie można tam było liczyć nawet na filiżankę gorącej herbaty i po prostu nie sposób było żyć. Z powodu istnienia tych przenikających się przestrzeni, miasto stawało się coraz bardziej pomieszane, splątane, rozproszone. Musiało być zarazem ciemne i jasne, tłoczne i bezludne, hałaśliwe i nieme. A także, trzeba to w końcu wyznać, wieloznaczne i nic nieznaczące. Jego nazwa w zależności od potrzeb chwili mogła odnosić się do tablic rejestracyjnych, do telefonów, do falujących świetlistych smug, do czegokolwiek, co przesłaniało jego mury, jak zwodnicze witraże kalejdoskopu rozpostarte między okiem i światłem.

W taki to sposób miasto zamglilo się, utraciło kontury i stało się częściowo niewidoczne. Lecz i nie widząc go, mieszkańcy dotkliwie odczuwali jego istnienie. Liszaje na jego murach, czeluście jego klatek schodowych w odcieniach przybrudzonej olejnej far-

Wzrok, Obraz świata,
Miasto, Lustro

by, niepewność jego wind podobnych do starych szaf zawieszonych na stalowych linach w głębiach przepastnych szybów, podrapane ściany, zaplute podłogi i puste butelki walające się po kątach. Pewnych rzeczy nawet lepiej było nie widzieć. Także niemytych nigdy okien w halach fabrycznych, także maszyn naznaczonych niedoskonałością i prostactwem form odlewniczych, w których powstały ich obudowy, grube i ciężkie. Z jakiejś przyczyny farba nie chciała się ich trzymać, obłaziła od samego początku. Mimo nieskomplikowanej natury odlewu, już w fazie projektów porzucano porywające marzenia, przesądzał o tym niespełniający wymogów gatunek materiału. Każda z tych maszyn była naznaczona widomym pokrewieństwem z młotkiem i kluczem francuskim, narzędziami grubo ciosanymi jak one same, zamiast w precyzję uzbrojonymi w impet, które po każdej naprawie zostawiały blizny na obudowach.

Drażliwej sprawy maszyn mieszkańcy miasta nie poruszali otwarcie. Wiedzieli, że zbudowano je w tęsknym uwielbieniu dla doskonałości, z myślą o zadziwieniu świata, i że materiał, z którego je robiono, zawsze okazywał się cięższy i bardziej oporny od substancji, z której powstawały wyobrażenia. Dociekliwi i bezczelni mechanicy rozpoznawali rozwiązania techniczne budzące kiedyś zachwyt i nadzieje, i porównywali z mitycznym oryginałem. W świecie materii nigdy nie osiągnęły doskonałości bezcielesnego pierwowzoru. Im wspanialej się kiedyś zapowiadał, tym bardziej potem pogardzano urządzeniami miejscowego wyrobu, jedynymi, jakie można było podłączyć do sieci i wprawić w ruch. Półki były nowe — czekano, aż się dotrą. Docierały się bez końca, pośród niezliczonych usterek. Blokowały się w nich przekładnie, łamały się śruby, mutry wpadały między koła zębate, skąd nikt nie umiał ich wyciągnąć. Maszynieria tego miasta pracowała z największym trudem, wśród hałaśliwych oznak zużycia części, wśród dudnienia, wśród zgrzytów. Każda rzecz miała tu swoje wady, będące częścią jej natury, być może najważniejszą. Każdy defekt potrzebował tylko czasu, by się ujawnić. Rury musiały się zatykać, zbiorniki przeciekać, a co bardziej precyzyjne konstrukcje rdzewiały codziennie po trochu, by w końcu ze zgrzytem zaciąć się i stanąć.

W tym czasie dużo ciemnych gwiazd pojawiło się na niebie. Podobno przestawały świecić z nagle, jak wypalone żarówki, i z chwili na chwilę stawały się niewidoczne. Rozbijały je śmigłowce służb miejskich, błakające się pod sklepieniem niebieskim bez paliwa. Nie mogły go uzupełnić, pozbawione lądowisk, o których zapomniano. Zamiast nich rozrastały się na dachach splątane dżungle anten.

Połykliwy, kruchy materiał, z którego zrobione były gwiazdy, tracił po stłuczeniu przejrzystość i sypał się na miasto czarnym pyłem. Pył wżerał się w tynki. W pochmurne popołudnia domy przybierały ten sam odcień szarości co niebo nad nimi, w ten sposób znikwały. W miarę jak gasły kolejne gwiazdy, coraz więcej było tego pyłu, który kładł się cieniem na niebie i na ziemi i przyćmiewał wszystkie źródła światła, nie wyłączając słońca. Wzrok przechodniów prześlizgiwał się po niewidocznych zwieńczeniach frontonów, wtopionych w pochmurne niebo. Cuda tego miasta nikogo już nie cieszyły, wszystkie wydawały się śmiechu warte. Kamienni murarze w kamiennych ubraniach, samotni w niszach murów, stali na ciężkich nogach z kamienia, dźwigając kilofy, niepotrzebne jak oni sami, gdy wszystko zostało już zbudowane i nikt nie pamiętał dlaczego. Z gołębiami na głowach, nastroszonymi od chłodu, tkwili w ciemnościach ulicy, niewidoczni tak jak mury. Nawet gołębie zastygały w bezruchu. Przybierając kolor tła, stawały się niewidzialne. Już łatwiej było zobaczyć je w albumach znaczków pocztowych — i tylko tam nie marzły.

Nikt nie wie, skąd w mieście bierze się smutek. Nie ma on fundamentów, nie jest zbudowany z cegieł ani skręcony z gwintowanych rur, nie płynie też kablami elektrycznymi i nie przywożą go towarowe pociągi. Smutek rozpościera się między domami jak delikatna mgielka, którą wiatr rozsnuwa nierównomiernie po placach, ulicach i podwórkach. Są ulice długie i krótkie, są wąskie i są szerokie, szarość jednych ma w sobie ślad ochry, innych — cień błękitu, rozsnuty od trotuarów po dachówki. Każdą z ulic zabarwia właściwy jej odcień smutku. Te, na których jest gęsto od smutku, i te, na których kładzie się on ledwie wyczuwalnym oparem, zbiegają się, krzyżują i rozchodzą. Ich długość, szerokość i kąty przecięcia mają przemożny wpływ na cyrkulację smutku. Ilość i rodzaj smutku zmienia się w mieście każdego dnia, tak jak zmienia się pogoda. Gdziekolwiek pojawia się czasem mały punkcik beztróski i strefa ulotnej wesołości wnika wąskim kli-

Rozczarowanie, Wizja,
Maszyn

Gwiazda, Ruiny

Smutek

nem w strefę smutku, jakby była frontem atmosferycznym przechodzącym nad dachami. Są ulice, na których chwieją się płyty chodnika i zawsze pachnie przypalenizną, a w sobotę zewsząd słychać hałasy i muzykę. W każdy poniedziałek zalega tam posępna cisza, przerywana z rzadka ochryplymi wrzaskami i wściekłym trzaskaniem drzwi.

W niewinnych i radosnych czasach młodości świata, kiedy wydawało się, że wszystko co wielkie będzie jeszcze większe, entuzjazm został wpisany w rozwiązania urbanistyczne, których założeniem był niczym niepowstrzymany rozwój. Zgodnie z regułą upowszechnioną w późniejszym czasie, która głosiła, że każdy stan prędzej czy później przejdzie w swoje przeciwieństwo, smutek okazał się inną formą entuzjazmu. Był tym, w co zamienia się entuzjazm, kiedy jego eksplozja przekroczy szczytowy punkt, po którym nieuchronnie nastąpi implozja.

Mieszkańcy tego miasta domyślali się, że mogą istnieć prawa przyrody sprawdzające się lepiej niż te, które im kiedyś przedstawiono jako jedyne i niepodważalne, które jednak nie wyjaśniały natury rzeczy ani ich źródeł, ani przyczyny ich pojawiania się i znikania. Pod sklepieniami czaszek rozpościerały się nietknięte ludzką stopą bezkresne obszary rzeczy widocznych jak na dłoni, choć bezcielesnych. To zaś, co namacalne, trwało w rejonach deptanych przez stopy, lecz dla myśli zamkniętych. Murarze z kamienia, utknąwszy w świecie, po którym chodzą stopy, nie mogli widzieć nic ponad to, co widzi każda cegła i dachówka, choć dniem i nocą patrzyli przed siebie oczami z kamienia. Wszystko w tym świecie miało swoje miejsce, lecz nic nie miało nazwy, gdyby zaś nawet ją miało, mogłaby to być tylko nazwa z kamienia, niema i głucha. Miasto deptane stopami przechodniów i miasto, w którym kłębiły się ich myśli, sąsiadowały ze sobą przez soczewkę oka, dokładnie nią od siebie oddzielone. Spojrzeniem można było ogarnąć niewiele, zaledwie jakiś narożnik, jeden kąt placu, sztyl nad sklepem lub firankę w oknie, gdy tymczasem całe to miasto, stojące na ziemi i nakryte kopułą nieba, zawieszona było w innej, bardziej przepastnej przestrzeni, tej, z której nadciągają myśli. One, w odróżnieniu od murów, widoczne były bez otwierania oczu. Nawet niewidomi, ze wzrokiem utkwionym we wnętrzu głowy obstukując białymi łaskami krawężniki, nigdy nie przestawali czuć, że coś wzbiera w tej przestrzeni lub coś opada. Być może właśnie oni lepiej od innych widzieli podobne nocnemu niebu ciemności bez granic, z rozszanymi w nich konstelacjami nazw wszystkich rzeczy, świecącymi i gasnącymi jak gwiazdy.

Bezgraniczna ta przestrzeń jest zakrzywiona tak szczególnie, że wszystko, o czym tylko można pomyśleć, zawsze znajdzie się wewnątrz. W przemierzanie jej nie wkładano żadnego wysiłku, czyniło się to z zamkniętymi oczami: każdy i tak wiedział, jak wygląda opera, jak budka telefoniczna, a jak autobus. Przeszłość ta mieściła w sobie wszystko, co rozpoznaje się bez patrzenia. I budka telefoniczna, choćby nawet nigdy nie istniała, musiała znaleźć się na właściwym rogu dokładnie wtedy, kiedy autobus zatrzymał się na przystanku przed operą. Wystarczyło powiedzieć właściwe słowo, aby w jednej chwili przywołać każdy z narożników tego bezcielesnego miasta, każdy sztyl sklepowy, każdy przystanek, nawet ten, który istnieje tylko w zawodnej pamięci. I wszystkie budki telefoniczne o każdej porze dnia i nocy, w deszcz, w mróz i w upał. Wszystkie gmachy i wszystkie ich okna na każdym piętrze, każdy kiosk z gazetami widziany z parteru i z poddasza, z prawa, z lewa, z przodu i z tyłu. Nawet to jedno jedyne okno — zawsze się takie znajdzie na któryś piętrze — przez które zamiast kamienicy stojącej naprzeciwko widać na przykład budynek z wieżą zegarową i pomnik rycerza na koniu. Błąd i pomyłka też jest częścią tych nieogarnionych zasobów, tak jak porzucone projekty i zapomniane sny, jak wszystko, o czym tylko można pomyśleć, nie wyłączając agrafek i kalafonii.

Przedmioty i budynki krążą bez ładu i składu, mieszając się ze sobą. Pamięć musi porządkować je nieustannie. Porządek trwalszy niż ten, podszyty bałaganem, nie jest tam możliwy. Nie można tego miasta opisać ani narysować, rzeczywistość kwartałów ulic po zakończeniu budowy już nie poddaje się nawet rzutowi prostokątnemu. Odcięte od nieba, pozbawione chmur odbitych w szybach okien, na arkuszach papieru ulice przypominałyby raczej to, co pozostanie z nich po wyburzeniu: zarysy fundamentów. Każda próba utrwalenia obrazu miasta mnoży podobnie ułomne zakątki, żyjące odtąd własnym życiem. Toteż po ukończeniu budowy przedstawienie miasta na płaszczyźnie nie jest już możliwe i nie ma znaczenia, czy będzie to płaszczyzna papieru, ekranu czy pamięci.

Przeszłość, Miasto, Obraz
świata

Mimo to w każdym kiosku można kupić złożony na szesnaście albo na trzydzieści dwa plan miasta z tytułem na okładce, podobnym do bramy zbudowanej z liter W i A, do wrót, za którymi na odwrocie tłoczą się w kolumnach nazwy ulic. Wydrukowane najdrobniejszą czcionką, wywołują pod powiekami obrazy niedzielnych poranków, jesiennych chmur pędzących nad dachami, ludzi idących w zimowych paltach, pękniętej płyty chodnika, sklepu muzycznego z wiolonczelą w witrynie, wilczura z gazetą w pysku i stu tysięcy innych rzeczy. I wszystko to urywa się, jak nożem uciął, przy cienkiej kresce, za którą jest biały margines i pustka.

Na planie można znaleźć dworce kolejowe, dzięki którym da się przekroczyć tę granicę. Dworce wyglądają na nim jak małe prostokąty w kolorze maskującym. Nie widać tylko pociągów, wydostających się — gdzieś pod spodem — na wschód, na zachód, na północ i na południe. Przejeżdżają ciemnymi tunelami ukrytymi pod papierem. Na bokach wagonów przyczepia się tabliczki z nazwą miejsca, do którego pociąg jakoby zmierza, białe z czarnymi napisami, w mrokach tuneli niewidoczne. Wśród ukrytej pod papierem płataniny torów lokomotywy pędzą przed siebie w ciszy, w pustce.

Oto bezkresne torowiska, żelazne szyny rysują na nich błyszczące linie w mętnej przestrzeni. Gdzieś poza krawędzią papieru unosi się Żyrardów, będący szwalnią, to znów przedziałnią, to znów garbarnią. Ożarów, Otwock i Nowy Dwór Mazowiecki, uczone torów kolejowych, cudem unikają dryfowania w przestrzeni. Każda z tych nazw zdolna jest powołać do połowicznego życia szarawe okolice, w których od stuku kół porcelana drży w kredensach i dudnią rynny. Wszystkie narożniki są tam obsikane przez kundle, wszystkie kundle mają podkulone ogony. Wózki z makulaturą i złomem podskakują na kocich łbach. Cierpliwi mężczyźni stoją w kolejce przed zamkniętym sklepem, a tynki dawno wypływały w słońcu i poszarzały od deszczów. Ulice wypełnione są tam po brzegi przypadkowymi zdarzeniami, niejasnymi, nieprzynależnymi do żadnej całości. Tak jakby myśl, wpisana w plan miasta, też urywała się u brzegu kartki.

Każde z tych miejsc ma swój własny centralny punkt, który porządkuje przestrzeń według swoich reguł: to kolektura zawsze tej samej gry liczbowej, nieprzewidującej wygranych, oznaczona szyldem, na którym wymalowano chudego słonia, pochylonego nad wątłą roślinką czterolistnej koniczyny. Widać, że jest już na wszystko za późno, słoń tak osłabł, że nie zerwie jej i nie zje. Żal słonia: źle trafił. Podobno gdzieś przy najdalszych odgałęzieniach torów rozrastają się zielone oazy, a stada wielkich i grubych słoni pasą się w nich od rana do wieczora we wszystkie dni tygodnia, aż odbija się im i czkają w cieniu palm. Ciepło jest tam latem i zimą — gdy tutaj deszcz i mżawka i zmierzch zapada wczesnym popołudniem. W pogodnym tamtejszym klimacie i życie podobno jest lżejsze, i śmierć łatwiejsza. Trudne do wyjaśnienia i podobno niezdrowe oddziaływanie tych odległych okolic zniekształca przestrzeń wokół kolektur. Wprawia w ruch wyobrażenia, przemieszczając je, jakby to były żelazne opilki posłuszne liniom pola magnetycznego, co wywołuje drżenie głowy i mąci wzrok tępym cierpieniem. Widoki wspaniałych przypływów i odpływów rozszalałego morza o barwie butelkowego szkła przeplatają się tam z chłodnymi pejzażami oprawionymi w ramy okienne, w których magazyny z blachy falistej wyrastają spośród zielska, a na pierwszym planie, na zakurczonym parapecie, zdycha owad obrócony nóżkami do góry.

Puste butelki trafiają w przejeżdżające wagony, rozbijają się o nie i kawałki szkła pozostają na zawsze przy nasypie, jako świadectwo zagadkowej nienawiści tych okolic do wszystkiego, co porusza się po torach. Nienawiści tego, co musi na zawsze pozostać tam, gdzie jest, do tego, co nieprzytwierdzone do podłoża, umyka i znika za widnokretem. Tory jednakże, dokądkolwiek prowadzą, nigdy nie opuszczą obszarów tej nazwy, która mieści w sobie wszystkie inne. Składy mijają budynki stacji rozrządowych z nazwami takimi jak Radom, Kielce, Kutno, malowanymi czarną farbą na białym tle, i mijają dworce z tymi samymi nazwami świecącymi nad pustym peronem. Nazwy nigdy nie mówią całej prawdy, nad peronami nie ma na nią miejsca. Metaliczne linie torów prosto jak strzelił przecinają tła wzięte z czarno-białej fotografii: nawet mur z czerwonej cegły nie ma tam w sobie ani śladu czerwieni. Tory nie przywiązują się do żadnego pejzażu i do żadnej barwy. Równie zimno połyskują wśród bajecznie kolorowych plakatów reklamowych i ilustrowanych pism porzuconych w tych przestrzeniach przecinanych torami, przy których fantomy miast utrzymują się krótko, znikając razem ze światłami semaforów.

Nienawiść

Ostatni z dworców przechodzi niepostrzeżenie w port morski. Podróźni mogą, nie otwierając nawet oczu, przesiadać się tam z pociągów na żaglowce, na których przepłyną siedem mórz. Zobaczą olbrzymie wieloryby i góry lodowe oraz usłyszą śpiew syren. Słowo „Gdańsk” da się odczytać jako aluzja do postaci wznoszącej trójząb na tle chmur. Lecz może ono okazać się fragmentem większej całości, od której kiedyś odpadły słowa „wolne miasto”. I równie dobrze pochodzić może z gazetowych tytułów, krzyczących czarnym drukiem, że za tę nazwę nie będzie się umierać. Wśród wszystkich nazw świecących nad peronami dworców nie ma naprawdę ani jednej, za którą podróżni chcieliby umrzeć. Tym bardziej, że nie jest pewne, czy umrzeć można tak, jak przepływa się siedem mórz — bez otwierania oczu.

Miejsca, których nazwy padają z dworcowych megafonów, są w oczywisty sposób niezdolne do samodzielnego istnienia, choć w niejednej z nich bez przerwy zapalają się i gasną różnokolorowe światełka, wytryskują gigantyczne fontanny o zapachu perfum i dźwięczą srebrne dzwonki. Czyż może naprawdę istnieć Paryż, nazwa brzmiąca tak pretenjonalnie, że musi śmieszyć, albo Londyn, w zasadzie pomyślany jako mgła? Albo Manchester i Liverpool, te dwa boiska do piłki nożnej, z hałdami węgla zamiast trybun? Bordeaux jest górą w kształcie butelki, Rotterdam, Antwerpia i Haga to nazwy kilku zapchlonych żaglowców, kołyszących się przy kejach, z resztkami przypraw korzennych wietrzejącymi w ładowniach. Wenecja jest miniaturową gondolą, kryjącą w swoim wnętrzu pozytywkę. Chicago to miejsce pełne walizek z pieniędzmi, trwające, póki pracuje projektor, dzięki któremu żyją, strzelają i umierają gangsterzy. Nowy Jork pomieścił najwyższe na świecie drapacze chmur na szesnastu centymetrach długości i dwunastu szerokości, z miejscem na znaczek pocztowy na odwrocie. Białe jak papier i czarne jak noc słowo Casablanca to nazwa nocnego baru dla niezdecydowanych samobójców. A Rzym jest punktem, do którego zmierzają drogi — te niezliczone przezroczyste linie.

Obce nazwy, piękne i szalone, są częścią tego miasta i prawdę mówiąc, zajmują w nim mniej miejsca niż zakładka w książce. Przechodnie oglądający codziennie ciemnawy czworobok placu Konstytucji rozumieją, że jedyny ich Paryż jest tam, gdzie rankiem kupują bułki paryskie, innego nie ma. Podobno w Montevideo można znaleźć drugi plac Konstytucji, z palmami i fontanną pośrodku, zalany oślepiającym blaskiem słońca, otoczony białymi kolonialnymi pałacami. Jeżeli coś takiego istnieje, jest tylko uzupełnieniem tego pierwszego i jedyne go placu, dodatkowym, ukrytym jego aspektem. Podobno Mediolan też ma Dworzec Centralny, w kształcie ogromnego sarkofagu, z którego ścian kamienne maskarony wytrzeszczają oczy i szczerzą kły. Oznacza to tylko tyle, że z jakiejś przyczyny Dworzec Centralny położony w środku miasta potrzebuje cienia bardziej wyrazistego niż ten, który rzucają jego szklane ściany. Podobno Praga połączonych pałaców unosi się gdzieś ponad Pragą obdrapanych kamienic czynszowych i głębokich jak studnie podwórrek, oddzieloną od reszty miasta rzeką o zapachu rdzy i smaru do maszyn, a od nieba gwiazd — pokrywają z chmur i dymów. Budowle, ulice, dzielnice dławią się od niezrealizowanych szans, wstrzymanych przemian, odsuniętych obietnic, porzuconych pragnień i pomieszanych emocji, dla których miasto na próżno szuka ujścia. W gęsto zabudowanej przestrzeni tłoczą się miejskie pejzaże, których napór przebiera wszelką miarę. Właśnie z powodu ciśnienia zaprzeczonych możliwości miasto zaczyna wytwarzać miraż: złoto Pragi, maskarony z Mediolanu, kolonialne budowle Montevideo.

Dworzec Centralny, jedyny, jaki naprawdę istnieje, jest tylko nazwą miejsca na planie miasta. To jeden z przystanków na trasie tramwajów, obwozących swoje numery od pętli do pętli. Zdążając do przystanku mijają się obojętnie perony, bowiem w istocie to jest zwykłe przejście podziemne i węzeł komunikacji miejskiej. Są tacy, którym widok szklanych ścian przypomina, jak to kiedyś w wielkiej, jasnej hali kupowali bilety na pociąg. Jest niemal pewne, że wtedy śnili.

To akwarium nie potrzebuje peronów ani pociągów, równie dobrze może istnieć bez nich. Nie potrzebuje nawet przystanków ani podziemnych przejść. W zasadzie nie potrzebuje niczego. To ono jest dla miasta oparciem i nadzieją, rezerwuarem kojącej, lecz wątpliwej wiary — że można żyć gdzie indziej.

W tłoku i zgłębku pochylają się nad stertami bagażu ludzie przyczajeni jak egzotyczne ryby przy mulistym dnie. Nachyleni ku sobie, poruszają ustami, wymawiając po cichu słowa, których nikt by tu nie zrozumiał. Inni samotnie opierają głowy na walizkach, pod

przymkniętymi powiekami widząc pochyloną chatę, chude woły w zaprzęgu, rozklekotaną ciężarówkę w pyle piaszczystej drogi. Przysypiają, wpatrzeni w zielen pagórków, w suche trawy stepów, bez zrozumienia i bez emocji puszczają mimo uszu strzępy rozmów przechodniów, śpieszących z przystanku na przystanek. Raz po raz otwierają oczy, żeby przeliczyć spiętrzone obok bagaże, wtedy ich sen staje się chwiejny i niepewny jak krok linoskoczka. Dźwięk megafonów uderza w nich nagle z wysoka i strąca ich w przepaść: lecą w dół, trzepocąc rękami, ale się nie budzą. Ich obce sny łączą się z miejscowymi jak osnowa z wątkiem. Bez niepełnej i niezdecydowanej obecności tych śniących całość nie byłaby kompletna. Na miejscu Transylwanii, Chorezmu, ośmiu królestw Persji i we wszystkich innych węzłowych punktach tej całości otworzyłyby się zionące pustką dziury.

Dworec jest też najlepszym w świecie miejscem dla cierpiących na bezsenność, prawdziwym sanatorium. Noc nigdy tam nie zapada, wieczór przemienia się od razu w poranek, nie wiadomo kiedy. Tylko tam można szukać nadziei nawet o najpóźniejszej porze, znaleźć ją i roztrwonić, a potem ukrywać się bezpiecznie aż do czasu, kiedy noc na zewnątrz się skończy. Cierpiących na bezsenność nie brakuje. Gdyby zacząć dociekać, dla kogo zbudowano dworce — może okazałoby się, że dla nich. Może bez ich nocnego czuwania miasto rozpadłoby się na kawałki, we wszystkim zależne od snów śniących. Na dworcu noc nie jest naprawdę nocą, sen nie jest naprawdę snem, i tylko dzięki temu ukrywający się w dworcowych poczekalniach usypiają w końcu wyciągnięci na twardych ławkach, w porze, kiedy pierwsze tramwaje wyjeżdżają już z zajezdni.

Sen

Im dalej od centralnej figury planu, tym bardziej gmatwa się porządek świata. Istnieją rozwidlenia szlaków kolejowych, biegnące ku miejscom, które nie leżą ani na wschodzie, ani na zachodzie, ani na północy, ani na południu, nie kryją się pod ziemią i nie są zawieszane nad dachami. Nie można tam dotrzeć żadną z istniejących linii, choć są w nich hale dworcowe, poczekalnie, perony i wszystko, czego potrzeba — nie brak nawet przybywających i odjeżdżających pociągów. Nie można też dojechać tam autem ani przybyć pieszo, choćby się tego pragnęło ze wszystkich sił. Te miejsca są całkowicie i na zawsze zamknięte. Odcięte od świata jak po katastrofie, pozbawione połączeń telefonicznych, choć nie brakuje tam telefonów, pozbawione wszelkiej łączności, choć każdy z tamtejszych urzędów pocztowych przyjmuje i doręcza telegramy. Zatopione, stoi w zielonej wodzie pamięci miasto sprzed miesiąca, miasto sprzed roku, miasto sprzed czterdziestu lat, każde z ostatnimi numerami gazet w kioskach: przepływają nad nim zatoki niżowe i fronty atmosferyczne, maszerują defilady, przeciągają epidemie grypy, do wglądu jest nawet repertuar teatrów i kronika wypadków ulicznych. Całą tę przestrzeń druk przenika równomiernie, jak mżawka. Nad każdym dniem wisi jedyna w swoim rodzaju konfiguracja majuskuł, chmurę małych liter rozwiewają wiatry.

Miasto wczorajsze i miasto dzisiejsze są podobne do siebie jak para bliźniaczych obrazków z łamigłówek, w które należy, wyrażając wzrok, znaleźć różnice: odkryć brak chorągiewki, wypatrzyć doniczkę w oknie albo wróbla na gzymsie. Tam ludzie kładli się spać wieczorem, tutaj obudzą się z rana. Każdej nocy, w rytm obrotów jutrzejszych gazet na bębnych maszyn rotacyjnych, zwijają się i znikają wczorajsze miasta. Rankiem nie ma już po nich śladu. Kiedy dzień minie, doszczętnie zużyte dzisiejsze miasto zniknie razem z nim, nie zostawiając po sobie niczego prócz unoszących się w przestrzeni rzeczowników, czasowników, przymiotników, twierdzących i przeczących zdań. Wczorajsze krzesło, kapelusz, czajnik, są już poza zasięgiem dzisiejszej ręki, bezcielesne i nieużyteczne. Mieszkańcy, którzy kładli się spać wieczorem, dziś istnieją w ten sam nierzeczywisty sposób, co wczorajsze czajniki. Ci zaś, którzy wstali z łóżek, by ich zastąpić, sięgają po czajniki dzisiejsze.

Życie dzisiejszych mieszkańców możliwe jest tylko w tym jednym jedynym miejscu na świecie. W ulotnym dzisiejszym mieście, które od wczorajszego i jutrzejszego różni się pewną szczególną właściwością substancji: tu tylko można jej dotykać, nigdzie więcej. Choć zdarza się, że ktoś już nie dosięgnie nowego wydania gazety. Gazeta jest, brakuje osoby. Ta nieobecność dowodzi, jak niewiele znaczy powierzchowne podobieństwo obrazków z łamigłówek. Wystarczy czyjaś nieobecność — ta najtrudniejsza do wskaza-

Miasto, Czas, Przemiana,
Przemijanie

nia różnica między nimi — by wszelką ciągłość postawić pod znakiem zapytania. Jeśli zaś jeden obrazek jest tak stary, że papier zdążył zżółknąć, a drugi jeszcze pachnie farbą drukarską, to i liczba dających się wypatrzyć różnic może okazać się tak wielka, że rozpoznanie utknie w niepewności. Możliwości są nieograniczone, nietrudno wyobrazić sobie dwa obrazki niemające żadnego wspólnego szczegółu. Czekać odpowiednio długo, można by w końcu trafić nawet na ten z wieżą Eiffla stojącą w otoczeniu rozległych trawników i klombów, z widokiem na łuk triumfalny. Wydawałoby się wątpliwe, czy w nazwie tego miejsca zmieści się właściwa liczba liter W i A. Ale czy sama wieża Eiffla nie ma kształtu litery A? I czy nie od litery W zaczyna się słowo „wieża”? Jeśli te dwa obrazki mają wyrażać skrajne aspekty tego samego, tym bardziej możliwe do pomyślenia są stany pośrednie, na przykład z tramwajami przejeżdżającymi pod wieżą Eiffla, która wznosi się na środku placu Konstytucji. Każda z możliwych konfiguracji ma swoje miejsce w przestrzeniach nazwy. Potrzeba tylko czasu, by wypłynęła na pierwszy plan.

Potrzeba tylko czasu, by wydarzyło się wszystko, o czym można pomyśleć. Czy zatem czas jest częścią tej konstrukcji? Jeśli tak, to z czego jest zrobiony i co go popycha do przodu? Czy jest tym, co obraca tryby zegarów, czy tym, co zegary miały w swych trybach? Może jego ruch jest tylko ubocznym efektem pracy tej maszynierii, która za pośrednictwem kolejnych przekładni przesuwają chmury, słońce i gwiazdy na tle nieruchomej kopuły nieba? Może jest napędzany przez parę wodną, pchającą główne tłoki, albo przez ciśnienie sprężonego gazu, który wprawia w ruch najważniejszy pasek klinowy, obracający się w kółko, bez początku i końca? Może jest samym tylko ruchem skrzypiących przekładni, samym obrotem, bez tłoków, pary i koła zamachowego, samym przemieszczeniem, bez nieba i bez chmur, samym pojawianiem się i znikaniem? Kto o to pyta, ma prawo do odpowiedzi, ma prawo niecierpliwie się i bębnić palcami w stół. Lecz pośród inskrypcji wykutych nad portalami i koślawych napisów na ścianach podziemnych przejść, pośród sloganów, cenników, ogłoszeń, pośród płataniny zdań, przez którą mieszkańcy miasta przedzierają się każdego dnia, zabrakło jednego jedyne go zdania, które rozstrzygałoby powyższe kwestie.

Odpowiedź nie przyjdzie. Nie została wpisana w plan miasta, kiedy zdecydowano o jego kształcie, usiłując połączyć zasadę prostokąta z zasadą gwiazdy. Gdy wskazówki zegarów dopiero co ruszały z miejsca, o czasie wiedziano tak niewiele, że jego skryte obroty nie budziły niepokoju. Kiedy zaś upływ czasu odsłonił tę niewiedzę, miastem rządziła już zasada meandra. Waga przedmiotów umieszczonych na szalkach podlegała tylko woli i rozporządzeniom, i nawet arytmetyka utraciła jednoznaczność. Nigdzie nie spotykało się prostych linii ani jasnych związków między przyczyną i skutkiem, i wszelkie dociekanie sposobu działania tej konstrukcji stało się niemożliwe.

Może więc lepiej byłoby założyć, że czas jest narastaniem słoików w pniu drzewa. Im dalej od pnia, tym gałązki są mniejsze i cieńsze, im są mniejsze i cieńsze, tym jest ich więcej. Najwięcej jest przyszłorocznych, tak małych i cienkich, że wcale ich nie widać. W gąszczu korony nie widać, gdzie się kończy jedna gałązka i zaczyna druga, tyle ich jest, poplątanych i pomieszanych, a wśród nich nie brak nawet tych dawno odciętych. Nic bowiem nie zostanie odcięte całkowicie i ostatecznie. Praca sekatora tworzy tylko pozory porządku, nie może go naprawdę ustanowić i narzucić. Obraz nieposkromionego zamętu drzewa mać w umysłach obrazy ruchu maszynierii, gdy tymczasem myśl o maszynie obraca drzewo w prostą konstrukcję z ksyleny i lyka, w banalny schemat przepływu wody przez niewidoczne akwedukty, w górę i w dół.

Już samo wypowiedzenie słów „drzewo” i „maszyna” otwiera drogę mrowiu wątpliwości i w ten sposób na chwilę zawiesza ruch świata, potęgując w nim zamęt. Pojawia się więc pokusa, żeby to uniemożliwić, żeby siłą uporządkować ruch świata w umysłach, surowo karząc za te dwa słowa, jeśli użyto ich bez upoważnienia i w wątpliwej intencji. Lecz po usuniętych wyobrażeniach pozostaną blizny i nienawiść. Choćby nawet stłoczono w najcięższych więzieniach tych wszystkich, którzy myślą że świat jest jak drzewo, albo też tamtych, utrzymujących, że jest jak maszyna, choćby nawet rozstrzelano ich i pogrzebano w zbiorowych mogiłach — uwięzieni, a zwłaszcza martwi, utwierdzą się w swoich przekonaniach, stając się bardziej uparci i mniej skorzy do kompromisu, niż byli kiedykolwiek przedtem. Niczego bowiem na świecie — zwłaszcza wyobrażeń — nie da się unicestwić całkowicie i ostatecznie.

Czas

W przestrzeniach nazwy wciąż jeszcze trwa miasto wykopów, zaludnione przez mężczyzn w gumiakach i w czapkach nasuniętych na oczy, przez kobiety w chustkach na głowach, miejsce, w którym wzięła początek ta historia. Nie zaszła tam jeszcze żadna zmiana, nie zbudowano żadnego domu, nie rozebrano żadnej wypalanej ruiny. Rozległy lej, pozostałość po eksplozji, w której hukurodziło się to miasto, nie został zasypany. Trwa jako ślad po rozbłysku, w którym skąpali się kiedyś lokatorzy czynszówek, właściciele serwantek z porcelaną, sekreter i pluszowych otoman. Skąpali się i spłonęli, tak jak ich meble, albo zapadli się pod ziemię w pozycji leżącej, wyprostowani, z rękami uroczystości skrzyżowanymi na mostku. Jest tam więc ciągle ów lej, głęboki jak krater wulkanu, a w nim trwa cuchnące i krwawe bulgotanie: przewalają się brudne bandaże, wózki niemowlęce, pojedyncze buty, zgniecione kapelusze, zardzewiały żelazny złom, rozdeptane okulary. Nad nim unosi się pierze z rozprutych poduszek, fruną spopieliałe strzępy listów. I ten właśnie obraz nigdy, przenigdy nie połączy się z obrazem miasta wykopów, wyrastającego beztrudnie ze słonecznej pustki, zaludnionego przez murarzy ufnie patrzących w przyszłość. Zawsze będzie jego zaprzeczeniem, będzie wiszącą nad nim groźbą wypłynięcia na jaw tego co przemilczane, powrotu tego co odepchnięte, będzie falował niebezpiecznie pod powierzchnią kratkowanego papieru, podtapiał od spodu kolumny gazetowego druku.

Ludzie w gumiakach wyglądali, jakby wyszli spod jednej sztancy, zwłaszcza oglądani z daleka i z wysoka: mieli ręce i nogi, mieli nosy, uszy i oczy. Przypuszczano zapewne, że ich oczy, podobne jak krople wody, patrzące na to samo, widzą to samo. Lecz oni ledwie na to spojrzeli. Patrzyli raczej każdy w swoją stronę, wzrokiem zatopionym w obrazach napływających skądinąd. Wspomnienia, które chcieli zachować dla siebie, przesłaniały im wszystko wokół, podczas gdy rusztowania pojawiały się jako przypadkowe tło, dlatego jedynie, że stały wszędzie. Wspomnienia były nieruchome jak pozy postaci na zawsze już bezcielesnych, siedzących na giętych krzesłach w atelier fotografa lub stojących w parku na tle drzew, w kolorze sepia, w najróżniejszych strojach i nakryciach głowy. Spadkobiercy tych wizerunków oprócz pewnych cech swej aparycji odziedziczyli, jak weksel do splacenia, ulotność formy, z dzieci przemienieni w dorosłych i już świadomi, że oni sami też będą zdani na łaskę cudzych wspomnień. Przechowywali w pamięci nieistniejące adresy i wnętrza, dźwigali nieistniejące budynki, place, ulice, z którymi nie umieli się rozstać. Przy sobie mieli tylko to, co najniezbędniejsze: może zegarek, scyzoryk, zapalki, może szalik, kiedyś, dawno, dla nich zrobiony przez kogoś na drutach. W górnej kieszonce czyjejs bluzy kryło się samo serce pamięci: fotografia kobiety w kapeluszu z woalką, prowadzącej chłopca z tornistrem, zdolna wywołać z niebytu słówko „mama”.

Główna różnica między miastem ze wspomnień i miastem wykopów polegała na tym, że owej kobiety z fotografii w tym drugim już nie było. Jej oczy, jasne albo ciemne w zależności od tego, jak starzały się odczynniki fotograficzne, patrzyły spod woalki nieco naiwnie w jakieś wiosenne popołudnie albo też w letni poranek, którego nikt już nie pamięta. Choćby chciała tego najbardziej na świecie, nie ujrzy ani miasta wykopów, ani tego człowieka, który nosi przy sobie jej wytarte i nadpalone zdjęcie. Nie wiadomo, co stało się z miłością, która nadała ten ciepły odcień jej spojrzeniu. Czy rozpadła się w proch wśród płomieni, jak sztuka porcelany z kredensu, czy uleciała z dymem ku niebu.

Spojrzenia, wnętrza i przedmioty z wolna zacierały się we wspomnieniach, stopniowo przesłaniane przez obrazy nowych dni ze świeżych wydań gazet. Do tych zmian nie miały się nijak przedmioty wyciągnięte wprost z rumowisk. Niektórzy byli pewni, że wiedzą, skąd one pochodzą. Ich zdaniem — z miasta serwantek z porcelaną, gdzie kiedyś je widzieli. Zgadywali, że zapadając się na zawsze, wypłuło je ono przez wspomniany lej, wytoczyło je z siebie wraz z gruzem i błotem. Jeśli to nawet prawda, tą drogą trafiło stamtąd do miasta wykopów zaledwie jedno na tysiąc pióro wieczne, jedna na pięćdziesiąt tysięcy porcelanowa filiżanka. Gdzie się podziały pozostałe? Otóż nie było ich już nigdzie: ani na ziemi, ani pod ziemią, ani w powietrzu.

W tym miejscu wypada przypomnieć, że mieszkańcy miasta wykopów byli nietutejsi tak samo jak te pióra i filiżanki, jak fotografie, jak te szaliki zrobione na drutach. Wyczołgali się przez ów lej, usmoleni, obdarcy, z głowami w bandażach poplamionych zaschniętą krwią. Przyszli kiedyś na świat w pięknym mieście u stóp szpiczastych liter W i A, a rzeka w miejscu ich urodzenia niosła odbicie tych liter, rozpoznawalnych, lecz niewyraźnych,

na kształt stromych dachów, cienkich jak ołówek dzwonnicy. Ale do miejsca, z którego przybywali, nie było powrotu. W chaotycznym mieście wykopów przeglądały się w rzece inne już litery W i A, trochę podobne do tamtych, choć bardziej do dzwonnicy z utraconymi hełmami, do wypalonych samotnych czynszówek wśród morza gruzu.

Jeśli niczego na świecie nie da się unicestwić całkowicie i ostatecznie, oczywiście jest, że pisane na wodzie litery gdzieś jeszcze wciąż trwają w dawnym kształcie i będą trwać zawsze, razem z tamtym miastem zasobnym w kruche filiżanki i w łatwopalne meble: z bezpiecznym od katastrof, niepodatnym na patos miastem groteski. Kto wspomni jego nieszczęścia, musi się uśmiechnąć, ten smutek ma bowiem podwójne dno, w którym kryje się wesołość. Dość dużo miejsca zajmują tam ulice, nad którymi papiery wartościowe wirują w powietrzu jak płatki kwiatów, i znajdują się tam finansisci gotowi z powodu paru cyfr wyskakiwać przez okna drapaczy chmur, podczas gdy przy innych ulicach niewzruszeni czarni Murzyni w białych frakach grają na złotych saksofonach przez wszystkie godziny dnia i nocy. Są i ulice zaludnione przez dystygowanych starszych panów uprzejmie uchylających melonika, przez wytwornych przestępców, przez detektywów w kraciastych cyklistówkach, inspektorów Scotland Yardu niemo poruszających ustami do wtóru nieco rozstrojonemu pianinu, które przygrywa z kąta pod ekranem. W tym pięknym mieście śmiejącym się ze wszystkiego znajdzie się na każdej ulicy kino, w każdym kinie pianino. Dlatego roi się w nim także od grubych przemysłowców z monoklem w oku, szukających dla siebie żon albo wydających za mąż swoje córki. Orkiestry grają im tanga, uwijają się wokół nich wyfraczeni kelnerzy, odźwierni kłaniają się nisko. Jest tu wszystko, czego im potrzeba do życia: wyścigi konne, pokazy lotnicze, parady wojskowe i ruletka. A w tle przechadzają się młodzi eleganci z wąsikami, błąka się nieopodal naiwna uczennica w okularach, nie traci rezonu mały gazeciarz z papierosem w zębach.

W kadrze nie zmieściło się tylko to, czego grubi przemysłowcy nie potrzebują: zapadłe sklepiki bez szyldu i wystawy, gdzie handluje się zapalkami, sznurowadłami i szarym mydłem — towarem, którego żaden z tych dobrodusznych tłuszciochów przenigdy nie kupi. Anemiczni sklepikarze są skazani na nieuchronną plajtę, nie mają na co liczyć wielodzietni krawcy, arcy mistrzowie nicowania doszczętnie znoszonych ubrań, ani wirtuozi szewstwa, zdolni z kilku par butów zdartych na strzepy zrobić jedną nowiutką parę. Ich dzieła znane są tym tylko, którzy mimo najszczerzej chęci nie mogą za nie dać nawet paru groszy. Odtrąceni przez lepszą publiczność, ci pechowcy przymierają głodem. Kapryśny wzrok spacerowicza odwraca się od ich sklepików ku wielkim szyldom i lśniącym witrynom, w których odnajdzie wszystkie modele, wzory i fasony, jakie tylko są możliwe do pomyślenia w tym wesołym mieście nieustającej zabawy. Żadna falbanka nie ma tu rangi spraw ostatecznych i spraw ostatecznych w ogóle nie przewidziano. Nawet ci, którzy wieszają się na własnych krawatach, czynią to z przyczyn banalnych i niemożliwie śmiesznych.

Czyż można zatem powiedzieć o tym mieście lekkim jak piórko, że nie pozostał z niego kamień na kamieniu? Raczej rozsypało się na cztery wiatry. Uleciały z dymem najświeższe niegdyś modele, wzory i fasony, którymi zachłystywały się jego ulice. Wszystkie zostały unicestwione przynajmniej na tyle, że nawet we wspomnieniach okazywały się uderzająco niemodne. Lecz unicestwione — jak wszystko na świecie — tylko po części. Moda jest tym, co sprawia, że pewnego dnia kapelusz z dużym rondem, ozdobiony sztucznymi kwiatami, zaczyna wyglądać dziwnie i głupio, i dla wszystkich staje się jasne, że musi go zastąpić małańki toczek. Przechodnie przez moment są głęboko przekonani, że toczek na zawsze pozostanie tym, czym jest: czymś najodpowiedniejszym pod każdym względem.

Scena pamięci zaopatrzona jest w zwinięte u sufitu prospekty, na których uwieczniono przemijające konfiguracje szyldów, obrazy pomników i dorożek. W zatopionym teatrze pamięci obrastają glonami rzędy pustych foteli. A przecież i tam wszystko ma swoje miejsce. Miasto z toczkami w witrynach zostanie całkowicie zasłonięte, kiedy z sufitu sceny opada nagle, rozwijając się w locie, płótno innego prospektu, malowane w pryzmy ciemnoczerwonych cegieł. Pretensjonalność toczków wzbudzi politowanie i stanie się oczywiście, że musiały zniknąć, by mogły je zastąpić właściwsze od nich chustki związane pod szyją — ma się rozumieć, na zawsze. A gdzieś z tyłu, za innymi prospektami ukryty jest jeszcze jeden, prawie całkiem wyblakły, do którego pasują suknie z tiurniurą:

miasto dwojga alfabetów i dwujęzycznych szyldów, błyszczące od błota i kałuż, pachnące stęchlizną, zwierzętami i krwią. To na jego tle unosi się wieczna mgła i sunie pochód z krzyżami i chorągwiami, a jeźdźcy w futrzanych czapach nacierają z przeciwka, wznosząc zakrzywione szable. Podczas gdy ręka złodzieja wyciąga portfel z czyjejs kieszeni, słychać zastygły w powietrzu świst kuli i rżenie koni wspiętych na zadnie nogi. Po deszczu mali chłopcy, nieślubni synowie kucharek i strażaków, puszczają łódki z papieru na spienione fale rynsztoków. Są tam dwa dworce po obu stronach rzeki, z których każdy wysnuwa z siebie osobną sieć kolei żelaznej. Dodatkowy odcinek torów, linia średnicowa, która połączyłaby je w całość, jest nie do pomyślenia. Most tego nie udźwignie. Między dwoma światami krąży tam i z powrotem konny tramwaj.

Do tych dwóch sieci kolejowych nawiązują dwa rodzaje wyobrażeń. Jedna rozwija się w stronę Moskwy i Petersburga, druga w stronę Paryża i Lozanny. Nigdy nie wydo stały się poza rogatki, co nie przeszkodziło im opleść torami całego świata i rozgałęziać się z każdym rokiem bardziej, obrastać w parowozownie, magazyny kolejowe i zabite deskami prowincjonalne garnizony, w których oficer nie może zrobić nic lepszego niż zdefraudować kasę pułku, żeby wypłacić się z karcianych długów, a potem palnąć sobie w łeb.

Przestrzeń zamknięta między rogatkami jest raczej ciasna. Dorożką z jednego krańca na drugi jedzie się pół godziny, w slotę trzy kwadransy, przemierzanie tej drogi nie pozostawia złudzeń. Niektórzy z mieszkańców tego miasta, mając dość jego ciasnych granic, woleli zginąć w zgiełku bitwy albo w dalekich śniegach. Inni, udręczeni tą samą ciasnotą, uznali, że żyć w nim to ich psi obowiązek, a śmierć jest rodzajem plałty. Jedni i drudzy — od urodzenia do śmierci — gdy po cokolwiek sięgnęli, chwyтали pustkę, robiąc krok, wpadali na ścianę. Ci pierwsi ginęli tak, jak chcieli — w bitewnym zgiełku albo w śniegach. Ci drudzy umierali w niewywietrzonych pokojach, mając u wezłowania stoliki pełne buteleczek z gorzkimi miksturami, za uszami pijawki. Żaden rodzaj śmierci nie mógł uleczyć bólu.

Jedni i drudzy spoczywali na koniec w trumnach, trumny rozpadały się w proch głęboko pod ziemią, a ból pozostawał na powierzchni: w dusznych sypialniach, w narożnych szynkach, w zapluskwionych kanapach, na których siadywali, w szufladach, gdzie trzymano ich listy. Krążył niepowstrzymanie, szukając nowych ofiar. I znowu przychodził w końcu dzień rzucania kanap na barykady, zbłąkany pocisk uwalniał listy z szuflad sekretarzy, papier zamieniał się w popiół, pękały szyby okienne, rozlatywały się futryny i kaflowe piece. Ale i to nie było lekarstwem na ból. Tego bólu nie można było uśmierzyc. Nie należał on do tych, którzy go doświadcza li, to raczej oni stawali się jego igraszką. Brał w obroty coraz to młodsze roczniki upadłych przedsiębiorców, zgorzkniałych urzędników, kaszających poetów, wszystkie wnętrza wypełniał aż po sufit.

Wielu usiłowało uchylić się od wybierania między nieznośnym zaduchem a świstem kuli. Szukali przestrzeni w wyobrażeniach, w których wielkie chmury przetaczały się nad szerokimi równinami. Spakowani w jeden kuferek, w rozpedzonych konnych karetkach, którymi rozwożono także państwowe dokumenty z dwugłowym orłem na pieczęciach, przemierzali niekończące się trakty. Tych, którzy najmocniej tęsknili za przestrzenią, wchłaniała pustka bezkresnych pól, które, aby istnieć, potrzebowały torów kolei żelaznej, rozrastających się rok za rokiem, stacja za stacją, aż do samego końca, gdzie okazuje się, że nie ma drogi powrotnej. Zaczynali błądzić po Petersburgu, wielkim, w rzeźbionych ramach, który pod połyskliwym werniksem bywa w zimie ciemny nawet przez dwadzieścia godzin na dobę. I po Moskwie, brukowanej drewnem, nie wiadomo, czy wzniesionej z prawdziwych cegieł, czy z lakierowanych klocków. Trafiali do Tuły, wysokiej, z mosiężnym kurkiem do wypuszczania wrzątku, do Omska i Tomsku, gdzie latem spławia się pnie drzew, a zimą zamarza na kamień. Do Astrachania — tego zabitego deskami składu lodu i skór, gdzie kawior jada się łyżką i popija samogonem. Na granicy stepu i morza otwierała się pod zbłąkanym podróżnym ciemna przepaść zwana Odessą, pełna marynarzy, bandytów, oficerów i kobiet fatalnych, bez ratunku zalewana falami epidemii, na zawsze wypełniona echem strzałów. Inny zatrzymywał się w Baku, gdzie krew płynie ulicami jak deszczowa woda, w Chabarowsku, gdzie na białym śniegu leżą biali żołnierze bez butów, albo dopiero we Władywostoku, na tej końcowej stacji świata, ku której tory, dotąd pędzące na zatracenie prosto jak strzała, muszą zakręcić, rysując pierwszy łuk niewi-

docznej spirali. Kolejny oprze się o Harbin, gdzie żółci Chińczycy w butach z filcu brodzą wśród śnieżnych zasp. Na następnych zakrętach trzeba się tylko coraz mocniej trzymać. Uratowani czy też zgubieni, ludzie wciągnięci w tę pętlę przenosili się do wnętrza czyjejś pamięci i zaczynali tam żyć jako wspomnienie, powtarzając bez końca swoje dawne gesty. Młodszy, niż byli w młodości, patrzyli z ramek stojących na nocnych stolikach oczami, które nic jeszcze nie widziały i nigdy nie zobaczą, ani przestrzeni, ani płomieni.

Miasta przeszłości utworzone są z pewnej liczby rozpoznawalnych elementów, które mają właściwy sobie kolor i kształt, ale nie mają stałego położenia. Przesuwają się, chowają i znów ukazują, jak szkiełka w kalejdoskopie. Oto pewnej wiosny wyrasta otoczony kutą żelazną kratą publiczny ogród, by zapełnić się niańkami i dziećmi, oto tuż obok otwierają wielki hotel, rozebrawszy przedtem stajnie koszar szwoleżerów. Wyrasta cerkiew z kopułą, jak duże ciemne szkiełko, które potem wpada nagle pomiędzy inne, by więcej się nie pojawić. Pewnego dnia stojąca obok antykiwki cyrylica znika z szyldów. Ulice nazywają się raz tak, raz inaczej. Zmieniają się figury na cokołach. Przy okazji przebudowy placu rozbiera się fontannę, która po latach pojawi się w innym miejscu. Ruch szkiełek jest bezładny, dopiero układ luster we wnętrzu tulejki z kartonu stworzy z nich nieskończone, doskonale regularne całości, w których coraz to inny detal na chwilę staje się osią konstrukcji. Skaza na szkłe, przypadkowy odblask, drobina kurzu, poddana tej samej regule, włączona do całości i powielona, doda jej szczegółów. W taki to sposób istnieje tu Moskwa i Petersburg a także Paryż i Lozanna: jako złudzenia optyczne wywołane skazami luster. Zrozumiałe, że najmniejsze nawet przemieszczenie elementów może prowadzić do istotnych zmian. Cień pyłku na lustrze wystarczy, by przy kawiarnianych stolikach zaczęto pijać zielony absynt, może też odmienić barwy proporców łopocących nad kolumnami piechoty w długich do ziemi szynelach. Cóż dopiero wielkie wstrząsy, które gwałtownie piętrzą fragmenty i rozsypują je na cztery wiatry. Taki wstrząs może też sprawić mimochodem, że most kolejowy wychynie nagle z nicości i powoła do istnienia tę przedtem niemożliwą nawet do pomyślenia linię średnicową, a rozciągane w dwie strony miasto przechyli się na stronę Paryża. Tam Kolej Transsyberyjska okaże się tylko rodzajem giełdowych papierów, jednym z wielu, na których, gdy zapadły się pod ziemię wśród gwałtownych wstrząsów, utracono fortuny. A tarasy kawiarni codziennie zapełniają się tam rozbawionymi ludźmi, którzy nigdy o niej nie słyszeli.

Można domyślać się istnienia miasta doskonałego w swej pełni, będącego sumą wszystkich możliwości. Niczego tam nie brakuje i nic nie może zaginąć, ani jedna porcelanowa filiżanka, ani jedna srebrna łyżeczka, każda bowiem skądś pochodzi i dokądś zmierza. Lecz właśnie ono, to miasto absolutne, nękanie jest plagą nieustannych katastrof. Każda zmiana coś w nim łamie. Trzeba uważać, by nie wjechać na most rozebrany przed laty, nie zasiąść na tarasie nieistniejącej cukierni, znanej niegdyś z najlepszych lodów, potem z wybuchających zniecka niewypałów. Można stracić długie godziny, wyczekując na przystankach dawno zamkniętych linii tramwajowych, jeśli nie dostrzeże się w porę, że szyny zalano już asfaltem. Trzeba zwłaszcza uważać na mury, których kiedyś nie było. Idąc przez plac targowy, pełen wozów i koni z workami owsa u pysków, lepiej nie zapominać o przyziemnej naturze bloków mieszkalnych, o ślepej zatwardziałości ich murów, przez które nie da się przejść inaczej niż przebijając je głową. Gdyby jednak na powrót zniknęły, nie byłoby lepiej. Przejroczyste jak powietrze szpalery prostopadłościaków tworzących niewidoczną pierzeję wypełniłaby próżnia, wciągająca ze świstem zmięte gazety, parasole, kapelusze.

Łatwiej niż całość przeniknąć można fragmenty. Każde z dopełniających się miast płynie swobodnie w przestrzeni, nieważkie i bezcielesne. Nie są połączone żadnymi rurami ani kablami, którymi substancja i energia mogłyby krążyć między nimi. Ani nie powstają, ani nie znikają, ani nie przeobrażają się jedno w drugie. Istnieją każde dla siebie i w sobie zamknięte — i nic się w nich nigdy nie zmienia. Właśnie dlatego, że trwają nieporuszone, musi ich być aż tyle. To tylko przechodnie, nie mogąc wytrwać bez porządkowania zawartości pamięci, chcąc zobaczyć w nich całość, ustanawiają ciągłość i wynikanie i upierają się porównywać rzeczy nieporównywalne. To przez nich wszystko co nowe, będzie stare, a co czyste, będzie brudne. W mieście, po którym chodzą, dzisiejszy kurz opada na kurz wczorajszy, czerstwieje chleb, wysycha woda i rdzewieje żelazo. Pomniki są wznoszone i obalane, ulice nazywają się raz tak, raz inaczej. Miasto utkane ze

zmian jest niszczącą po trochu każdego dnia sceną dla niekończących się wejść i wyjść, miejscem gubienia i znajdowania, łamania i sklejanego, narodzin i śmierci.

Wspomnienia upadają na niepewny grunt w przypadkowych miejscach i pozostają, gdzie spadły. Jeśli w mieście nie ma nic niezmiennego, jakże wspomnienia miałyby się oprzeć zmianom, deptane podszwami, zalewane przez deszcze? W opanowanym przez pamięć mieście zmian musiało się pomieścić wszystko, co pamięć przechowała — choć bez szansy na ocalenie pierwotnych barw i kształtów — jak w szafie, w której obok fabrycznego garnituru z taniej zerówki wisi zetlały ze starości mundur nieistniejącej już formacji, a pomiędzy nimi damska mufka, kryjąca w sobie gniazdo moli.

Przestrzenie rozpościerające się w głowach są rozleglejsze niż cokolwiek o czym można pomyśleć. Każde z przeszłych i przyszłych miast, poupychanych w zakamarkach świata, ma tam swoją gwiazdę, a można też powiedzieć, że każde z nich jest najważniejsze. Czyż bowiem świat nie składa się z samych zakamarków? Tylko nazwa chroni miasto przed rozsypką, bo to ona ma właściwość zawierania w sobie wszystkiego co było a nie jest.

Dreńzone tęsknotą i zwątpieniem, niespokojne miasto wspomnień każdej nocy wypuszcza z siebie sny, te giętkie pnącza, w ciszy i w ciemności szukające podpórek. Nie znalazły tam niczego oprócz innych snów, zaczepiają się o siebie nawzajem. Oplatają się jedne na drugich i plenią się dalej, tworząc węzły i pętle, zrastając się i rozwidlając. Są sny ciemne i jasne, są piękne i są okropne. Jasność bierze się w nich z ciemności a piękno z okropności. Dżungla snów, nigdy nietknięta sekatorem, przerasta cały świat i można nawet powiedzieć, że właśnie ona jest światem i że mieszkańcy — razem z domami, z łózkami, z pościelą, ze wspomnieniami, z pytaniami bez odpowiedzi — potrzebni są tylko do tego, by sny się śniły.

Tylko do tego, by się śniły? Tylko do tego, by rozrastały się bez końca nieposkromione pędy? A utrzymanie świata w należytym porządku? A dbałość o wszystko, co w nim jest mechanicznego? A pastowanie podłóg, a reperacje? Czyż nie po to mieszkańcy miasta nocą spali, by nabrać sił do trudów nowego dnia? Otóż nie. Chleb ze snu nie syci, woda ze snu nie gasi pragnienia. Nie wystarczy spać i jeść. Sny — te wesołe albo smutne krainy niespełnienia — gotowe byłyby odkryć oczom mieszkańców prawdę, która umykała im na jawie: że intencja utrzymywania świata w porządku też się wzięła ze snu. Z pracownego snu, w którym każda rzecz, na jakiej spocznie oko, musi trafić na właściwe miejsce, podczas gdy pięć innych w tym samym czasie rozprasza się i gubi. Ale na to, by śledzić tła i drugie plany, śniący śnili nie dość uważnie.

W porze zmierzchu miasto snów przenika miasto rozciągające się w przestrzeni i łączy się z nim w mroczną całość uwiecznioną czarnymi zarysami biurowców na tle czerwonego nieba, kolosami niedawno wzniesionymi, lecz o konstrukcjach nadzartych już rdzą i ciemnością. Nigdzie nie ma żadnego słupa granicznego, żadnego znaku, który określałby wzajemne położenie snów i jawy. Niektórzy biorą poranne dzwonięcie budzików za sygnał dźwiękowy, informujący o przekroczeniu granicy. Ale budziki, same należąc do snu, nie mogą nikogo obudzić.

W głębi swojego snu śniący przepychają się do tramwajów, z tramwajów do biur. Śniąc, czytają dokumenty i przybijają pieczątki, i śnią dalej, krążąc między półkami sklepowymi i mrużąc oczy od nadmiaru barw i kształtów. Pełnia mąci w głowach. W przedmiotach drzemią obietnice innego losu. W olśniewających sklepach miasta snów sprzedaje się i kupuje odbicia w lustrach. Nieskazitelne piękno nowego losu trwa jeszcze przez pewien czas, potem rozprasza się i znika. Ale powszedni brak nadziei, czający się po kątach, w mieście snów nie jest dozwolony. Każdy z przechodniów może zostać rozliczony z tych najgorszych win swojego życia — z niepewności i smutku — przez nieznanomych, bytujących beztrząsco na rozległych płaszczyznach ulicznych reklam, przez ludzi żyjących wśród pustych słów spokojnie i szczęśliwie, którym dane są gwarancje stałości, o jakich nikt inny nie może nawet śnić.

W mieście snów wszystkie kolory karoserii przeglądają się w lśniących posadzkach sklepów z autami. Z przejęciem i pożądlivością przechodnie zaglądną do środka przez ogromne witryny. Ale personel pilnuje tych aut. Przechodzień, który zamierza usiąść za kierownicą i wyjechać, powinien mieć otwarty kredyt bankowy albo walizkę banknotów.

Sen

Pieniądz, Gra, Los

Toteż wielu mieszkańców miasta snów, nie mogąc liczyć na kredyt, poszukuje walizek z banknotami dniami i nocą.

To oni tłumnie wypełniają budynki kasyn, zaopatrzone w specjalne otwory w dachach i wewnętrzne rynny, kierujące deszcz pieniędzy prosto do urzędów, które je policzą i wedle potrzeb rozdzielą między oczekujących. Każdy numer, kolor i karta prędej czy późnej musi wygrać. Fortuna toczy się kołem, by obdzielić spragnionych szczęścia w grze. Ten, kto nie przyszedł z pustymi rękami, nie pożałuje, jeśli cierpliwie poczeka na szczęśliwy los i jeśli nie zawaha się w tej jedynej chwili. Tu tylko — nigdzie więcej — można dosięgnąć przeznaczenia, własną ręką naprostować przekrzywiony ster losu, bez straty czasu i sił na inne, pośrednie i wątpliwej skuteczności działania. Trzeba tylko opłacić grę. Wystarczy jedna jedyna moneta, ta szczęśliwa. Kto już wydał szczęśliwą monetę i przeoczył swoją chwilę, ten nie wygra. Lepiej więc nigdy nie podnosić wzroku znad stołu do gry, by nie dać się skusić na gumę do żucia, fistaszki i piwo. Ale grający niczego nie są pewni, nawet tego. Dawno przepuścili szczęśliwe monety na głupstwa, zostały im tylko te, które nigdy nie wygrają. Dlatego deszcz pieniędzy, wpadających z nieba przez specjalne otwory w dachu, trafia w końcu do kanalizacji.

O pieniądzach miasto snów nie zapomina o żadnej porze. Nocą ich luna bije w niebo nad ogromnymi hotelami. Winda lśniące od chromu wożą w górę i w dół zadowolonych cudzoziemców w błyszczących butach, w jedwabnych koszulach, z wypchanymi portfelami w wewnętrznych kieszeniach marynarek. Za ścianami z wielkich szklanych tafli hole hotelowe jarzą się tysiącami lamp, skórzane kanapy wyrastają tam wśród tropikalnej zieleni. Mgielka wody kolońskiej miesza się z dymem cygar i zapachem świeżo parzonej kawy. Każdy, kto tylko przekroczył próg, z miejsca staje się cudzoziemcem i może odlecieć na zawsze do Ameryki, ponad chmurami, z żarzącym się cygarem w ustach. Jeśli jednak sięgnie do wewnętrznej kieszeni — natrafi na pusty portfel tak jak przedtem.

Na niecierpliwych czekają w mieście snów punkty werbunkowe Legii Cudzoziemskiej, a w każdym z nich dniami i nocą wypuszcza z fajki kółka dymu obcojęzyczny oficer w białym kepi na głowie i w wyszarzonym mundurze z czerwono-zielonymi wyłogami, w którym walczył na pustyni i błądził w burzach piaskowych. Każdemu, kto tam wejdzie choćby przez pomyłkę, na wpół przezroczystą ręką podsuwa do podpisu kontrakt na piętnaście lat służby w tropikach i pokazuje na palcach okrągłe sumy żołdu, które ochotnikowi wypłaci jego rząd. Mami zielenią nadziei i pokrywa zblazowanym uśmiechem zakłopotanie z powodu zbyt wymownie sąsiadującej na wyłogach z zielenią — czerwieni krwi. Krew, którą w tropikach wytoczyć ma z żył przechodzień składający podpis pod kontraktem. Cudzoziemski oficer przekonał się na własnej skórze, że w tropikach można żyć bez krwi w żyłach. Kto ją utraci, wypełni żyły inną substancją, na przykład koniakiem dostarczonym skrzynkami do kantyn. I podpisawszy co trzeba, przechodzień znika na zawsze. Z tropików bowiem nigdy się nie wraca.

Zrozpaczeni, którzy spróbowali już wszystkiego, mają za mało sił, żeby dalej śnić, za mało czasu, żeby szukać daleko. Z pustą walizką wchodzą do pierwszego napotkanego banku, obrzucają kasjera zmęczonym spojrzeniem, z którego w mgnieniu oka wyczyta on żądanie, poparte błyskiem oksydowanej stali pod połą kurtki. Walizka zostanie napełniona banknotami bez zbędnych słów. Toteż niektóre sny rozbrzmiewają wyciem policyjnych syren i piskiem opon. Wypełnione są szalonymi pościgami i ucieczkami na złamanie karku, gdy przed oczami osłupiałych śniących, pędzących ostatkiem sił, umykają ze świstem wiatru skrzyżowania, budynki i drzewa. Pęd wygasa w ślepych zaułku, tam ucieczki i pogonie okazują się sprawą życia i śmierci. Rozlega się desperacki wystrzał, po którym wszystko gaśnie i znika, a w ciszy, która nadejdzie, może zadzwonić budzik, i po tym dzwonku rozpocznie się nowy sen.

Rozdygotane z napięcia miasto snów nie byłoby całością bez swych podziemi, których sercem jest perkusja. Jej rytm porywa gości, udręczonych smutkiem, tęsknotą i furją, i oslepiają ich nagle rozbłyski, gdy na moment wyrwywają z mroku przypadkowe grymasy i gesty, rozpaczliwie czepiające się spojrzeń. W ogłuszającym huku furia wybucha czerwienią, tęsknota zielenią, smutek błękitem. Każdy, kto zapłacił za wejście, ma prawo oczekiwać olśnienia. Liczących na olśnienie jest tylu, ilu tylko mogło się tam pomieścić, a każdy przyniósł swoją ciemność. Ciemność zatapia całe to miejsce wraz ze strojami, makijażami, butelkami za barem. Dźwięk perkusji nie uciszy tętnienia krwi w skroniach i nie

ukoi furii, tęsknoty ani smutku, ale w końcu wygładzi grymasy i złagodzi gesty. Tylko tam znika nieznośny ciężar, tańczący zyskują lekkość, o jakiej gdzie indziej nie mogliby śnić. Miłość żyjąca w dźwiękach jest wolna od ciężaru do tego stopnia, że może być tylko cieniem miłości, czymś, co nie zajmie przestrzeni w sercu i nazajutrz uleci z pamięci. Czymś równie nietrwałym jak dźwięk perkusji i tak jak on niedającym się wynieść na zewnątrz ani zatrzymać przy sobie na dłużej. Dlatego pary, wychodzące do którejkolwiek z sąsiednich sal — bankietowej, porodowej i sądowej — muszą sobie radzić bez miłości.

Lecz bez miłości śniący nie mają dość sił, by dalej śnić. Radzą sobie jak mogą. Kupują krawaty na gumkach, które można z siebie zerwać jednym szarpnięciem, kiedy kołnierzyk wbija się w krtań i głowa pęka z bólu. Kupują tabletki od bólu głowy, które przyniosą chwilę ulgi, okupionej bólem żołądka. Łykają lekarstwa od bólu żołądka, po których skarżą się na wątrobę. W szpitalach miasta snów jamy brzuszne, klatki piersiowe otwiera się i zamyka jak pudełka. Instrumentaria tamtejsze pełne są narzędzi, przy których pomocy można usunąć z ciała to wszystko, co sprawia ból nie do zniesienia. Jak zbędnego balastu, ciągnącego ich ku ziemi, śniący wyrzekają się żołądka, wątroby i serca, pod którego zastaw dostają w końcu kredyt i powłócząc nogami, wracają tam, gdzie oglądali auta. Nie wiadomo, w jaki sposób wyjeżdżają nimi na ulicę: widać przecież, że dwuskrzydłowe drzwi są na to za wąskie. Nie obejdzie się bez zadrapań na lśniącej karoserii. Blask nowości znika od razu. Im dalej auta zajadą, tym gorzej będą wyglądały. Widzi się je potem, zablocone i przerdzewiałe, jak tłuką się z jednego przedmieścia na drugie i z powrotem, z urwanym sprzęgłem, bez kół i silnika, raz po raz wpadając na siebie. Mieszkańcy miasta snów przeklinają auta i przeklinają obietnice, którym ulegli. Szukają innych, lepszych obietnic i śnią ostatkiem sił, wybierając bolesne i nigdy nie dość skuteczne sposoby ratunku, jak tonący, który chwyta się brzytwy. Żyjąc latami bez serca, staną się zgorzkniałymi mizantropami, a ich organizmy będą mnożyć szczególne, niedające się uleczyć niedomagania, z powodu których konieczne byłyby kolejne operacje. Lecz sale operacyjne miasta snów mogły im pomóc tylko raz. Szczypcom chirurgicznym, tak skądinąd przydatnym do zamykania pomniejszych tętniczek, by krew nie zalała pola widzenia, w którym porusza się skalpel, brakuje ząbków odpowiedniego rodzaju, niezbędnych, żeby pochwycić i przytrzymać ulatujące życie.

Nie ma na świecie rozwiązań tak złych, że nikt ich nie wybiera. Nawet najgorsze wyjście dla kogoś może okazać się najlepszym. Istnieją cele nadrzędne, jak ten, żeby nie opuszczać miasta snów. I jego mieszkańcy gotowi są zapłacić za to każdą cenę, gdy między jednym i drugim snem otwiera się pod nimi przepaść, której obawiają się bardziej niż czegokolwiek na świecie: otchłań snów bez marzeń. Ani na moment nie odrywają wzroku od migających świateł, inaczej mogłyby zgasnąć w mgnieniu oka. Barwy, kształty i dźwięki zmieniają się z chwili na chwilę, lecz miasto snów nikogo nie zmusza, by między nimi wybierał. Jego mieszkańcy wierzą, że szczęśliwy sen może przynieść wszystko naraz: miłość, amerykańskie cygara, złoto banków i żar tropików. Nie chcą zaś ciszy jawy, której pustka zabija wszelką przyjemność płynącą z bycia tym lub tamtym, z przymierzania ubrań, dobierania wyrażen, z posługiwania się ironią albo patosem. Czy śnienie jest jedynym możliwym sposobem życia w tym mieście? Niektórzy wyobrażają sobie jawę i sen jako awers i rewers monety, albo raczej jako dwie półkule księżycy. Nie zauważyli, że księżyc ukazuje im zawsze tę samą, jasno oświetloną półkulę snów.

Wzniesiono to miasto na pograniczu trzech żywiołów, w miejscu, gdzie mieszają się ze sobą: stanęło na glinie pamięci, na ruchomych piaskach snów i na wodzie zapomnienia, dzień za dniem wypłukującej grunt spod fundamentów. Podobno zatopione monety są zdolne pokonać zapomnienie, podobno, gdy leżą w wodzie, utrzymują przy życiu pamięć miejsc. Lecz trudno zrozumieć, w jaki sposób mogą to uczynić, same przykryte mułem, pod którym awers nie różni się od rewersu. Tam bezruch jawy nie przeszkadza migotaniu snów, ani na odwrót. Wodami zapomnienia nie rządzi żadna rozumna zasada i dlatego godzą one wszystkie sprzeczności. Rozróżnienia! Życie i śmierć, drzewo i maszyna, początek i koniec! Każde słowo jest jak sznurkiem związane ze słowem o przeciwnym znaczeniu. Umysł wolałby coś bardziej jednoznacznego, niepokodzony z tym, że awers i rewers, te dwa sprzeczne aspekty spraw, okazują się nierozłączne. Pytają, dlaczego płacąc monetą, nie mogą wydać jej połowicznie, zatrzymać dla siebie reszki, gdy wyzbywają się orła, albo też na odwrót, skoro wszystko, co przypada im na tym świecie, jest połowiczne ze swej

Miłość, Dźwięk

Obraz świata, Kondycja
ludzka

Miasto, Warszawa

natury, istnieje, lecz tylko po części, pojawia się i znika. Każda nazwa staje na ostrzu noża, zmusza do czynienia rozróżnień. To skutek nazywania rzeczy po imieniu. Każdy czasownik, jaki się z nią połączy, przywlecze przeciwczasownik, każdy przymiotnik przywlecze przeciwprzymiotnik, każdy domysł ściągnie przeciwdomysł. Dobro stworzy zło, ciepło stworzy zimno, koniec stworzy początek. Kto twierdzi, że świat jest podobny do drzewa, będzie współnikiem i śmiertelnym wrogiem tego, kto upiera się, że jest podobny do maszyny. Choć do cna skłóćeni, obracają tymi samymi słowami. Jeden wydziera je drugiemu, jak łup do podziału, nie wiedząc, że to fałszywa waluta.

Lecz kto opisze miasto stu tysiącami słów, wyhoduje sto tysięcy słów przeciwmiaści i każde z nich wróci do miasta jak zły szeląg. Nikt nie pyta, skąd bierze się rzeczowniki, ani do kogo należą. Mieszkańcy miasta dźwigają je z ufnością, przekonani, że właścicielem bagażu jest ten, kto go niesie, panem słów jest ten, kto je wypowiedział. Ale słowa nie trzymają się rzeczy. Przepływają to tu, to tam. Czasem kryją się za innymi, by wyskoczyć zniemacka, siejąc zamęt. Odwracają znaczenia i uciekają, ciągnąc za sobą myśli.

Choć ludzie obciążają się tu wszystkim, na czym spocznie oko, nic do nich nie należy. To, co uważali za swoje, znika w mgnieniu oka. Ubrania, przed chwilą nowe, rozsypują się ze starości. Dzieci zaczynają pyskować i zamieniają się w dorosłych, nie wiadomo kiedy. We wspomnieniach pozostają tylko rzeczowniki, czasowniki i przymiotniki, jak kwity z przechowalni, gdy po wyszczególnionych tam rzeczach nie ma już śladu w żadnym magazynie. Mieszkańcy miasta pilnują kwitów na swoje nieprzebrane dobra, spośród których niczego nie zamierzają się wyrzec, nawet zeszłorocznego śniegu, nawet jesiennych mgieł, pewni, że to wszystko wciąż leży i czeka, do ich dyspozycji w każdej chwili. Gdzież jest ta przechowalnia, w której trzyma się zapomniane pluszowe misie niegdysiejszych dzieci, zgubione dawno temu zaręczynowe pierścionki, fortuny bankrutów, pocałunki przejechanych przez tramwaje, odbłaski zachodów słońca na szybach okien, przebrzmiałe melodie i zjedzone torty? Oto ona: wielka i mała, bez trudu mieści w sobie to wszystko, choć sama równie łatwo pomieścić się może na półce, gruba, w twardej oprawie, z alfabetycznym układem hasel. Tort sąsiaduje w niej z torturą i jak ona ma czarny kolor farby drukarskiej.

Nazywanie rzeczy po imieniu nikomu nie przyniosło szczęścia. Nazwy mimo to krążą bez ustanku, coraz bardziej gorączkowo. To bowiem, co nie zostało nazwane, odpływa razem z falami na rzece. Wydarzenia nie czepiają się słów i nie potrzebują ich do tego, by płynąć. Mimochodem poruszają ławice migocących jaskrawo określeń. To co ma płynąć — płynie, a określenia zostają, kołysząc się na falach, powiązane linami, jak kolorowe boje. Mieszkańcy miasta znaczą nimi szlaki wydarzeń, żeby ich nie mylić, bo wydarzenia same z siebie są niezbyt zrozumiałe, skłonne rozlewać się szeroko i zacierać granice. Miłość potrzebuje białych welonów, czarnych smokingów, limuzyn ze wstążkami, ale czasem wystarczyć jej musi krata w więziennej sali widzeń. Sen potrzebuje domu i łóżka, choć w ostateczności zadowolony się ławką w dworcowej poczekalni lub nawet skrawkiem trotuaru: wtedy staje się czymś możliwym do pomylenia z omdleniem, z pijaństwem i ze śmiercią. Właśnie dlatego nieodzowne są te znaki: unoszące się na powierzchni boje słów, które mają rozdzielać to, co chce być pomieszczone. Kołyszą się na falach jedna przy drugiej, mącąc wzrok, nic dziwnego, że w końcu ich ruch jest brany za fale, a opisy przesłaniają rzeczy i zdarzenia.

Oto w deszczowy dzień przechodzień ginie na ruchliwym skrzyżowaniu, a kierowca, ojciec rodziny, mąż ciężarnej żony, staje się nagle przestępcą. Uczniowie mijają to miejsce, niosąc do szkoły poplamione atramentem tornistry. Szkoła żegna na zawsze zasłużonego nauczyciela. Innego dnia policjanci konwojują sprawcę wypadku z aresztu na salę sądową, w tym czasie taksówka wiezie rodzącą kobietę w przeciwnym kierunku, do kliniki położniczej. Połączenie telefoniczne między sądem i porodówką, na które liczy sprawca, byłoby technicznie możliwe, lecz pokrzyżują ten plan jaskrawe i puste w środku boje słów, wyznaczające szlaki zdarzeń: nie wskażą trasy łączącej porodówkę z przedmiotem rozprawy, która ma się rozpocząć, ani żadnego związku oczekiwanych narodzin z treścią akt, z prośby o dostęp do telefonu czyniąc zachciankę bez sensu — należy ją zlekceważyć. Słowa, które same cisną się do głów, wyznaczają ramy tego co możliwe. Nazajutrz w sali sądowej rozpoczyna się inny proces, konwojenci wiozą tam aresztanta, a na skrzyżowaniu znowu ktoś ginie. Inna rodząca kobieta jedzie taksówką do szpitala, znowu pada —

Słowo, Przemijanie, Woda

być może — deszcz, te same dzieci idą do szkoły w mundurkach nasiąkających powoli smutkiem gramatyki i zadań o pociągach. Ofiary wypadków, ich sprawcy, uczniowie, policjanci, rodzące kobiety nie mają wyboru, muszą podążać w kierunku, który wyznacza ulica, wchodzić i wychodzić przez drzwi, i to tylko w godzinach otwarcia, lub wjeżdżać na noszach, jeśli już nie mogą inaczej. Nie przychodzą na świat i nie umierają bez związku z poprzedzającymi to zdarzenie i z następującymi po nim okolicznościami, bez reszty wprzęgnięci w ten nieustanny ruch. Wszystko, co można nazwać, prędzej czy później się wydarzy.

Zdarzenia — tak, nawet one! — nie są konieczne do tego, by płynęło to, co ma płynąć. Elegancki pasaż może nagle stać się cuchnącą dziurą bez wyjścia, piękny hotel przemieni się w przytułek dla bezdomnych. W nieczynnym punkcie repasacji pończoch odnajdzie się lodziarnia z Palermo, w której milczący mężczyźni w czarnych okularach godzinami wpatrywać się będą w oszklone drzwi, pod połami marynarek chowając odbezpieczone pistolety. Na dawnym kiosku z gazetami zaświecą kolorowe lampiony z papieru, a w jego wnętrzu pojawią się długie rzędy nakrytych obrusami stolików, przy których zamawiać się będzie potrawy z węży i małp. Być może Kozacy w opancerzonych transporterach obstawią kiedyś centralne rondo albo dzikie hordy Dżyngis Chana rozbiją namioty i rozpalą ogniska na głównej ulicy, zatrzymają tramwaje i autobusy pełne ludzi śpieszących się do pracy, a wyskakujących z aut zniecierpliwionych kierowców będą bili na oślep buzdyganami. To miasto stało się już tak bezładne, że jego Paryż — miejsce, o którym w gruncie rzeczy nikt nic nie wie — obrócił się w śmietnik przeszukiwany przez kloszardów. Stary parasol z pogiętymi drutami sterczy z niego zamiast wieży Eiffla.

To, co nazwane, będzie zapomniane. Słowa są w ciągłym ruchu, te same potrzebne nazajutrz, żeby nazwać co innego. Wydarzenia, dla których wszystkim brakuje słów, pójdą w zapomnienie najprędzej. Każdą z tras jeżdżą raz te, raz inne numery tramwajów, pośrodku ulicy wyrasta nagle składnica złomu o zabitych deskami oknach, bywa, że nie można po raz drugi trafić w to samo miejsce, bo układ ulic zmienił się w ciągu nocy. Miasto zmian stworzyła pamięć szukająca wczorajszego dnia. Jest całkowicie zależne od wspomnień — które dla zapomnienia są tym, czym zamki z piasku dla płynącej wody. Nękane falami zapomnienia, nie może istnieć bez mieszkańców noszących w sobie myśli, pytania i pragnienia, do których przylgną miejskie pejzaże — w ten tylko sposób to miasto może zapamiętać samo siebie. Zapomnienie ze swej strony po cichu zabiera gesty i grymasy, rozpedzone chmury, krople deszczu na szybach, powiewy wiatru. Płynąca woda rzeźbi brzegi — to jedyne po niej wspomnienie. Tam, gdzie było najwięcej wypadków ulicznych, wybudowano przejścia podziemne. Gdzie sprzedawano i kupowano, powstały targowiska, gdzie grasowali złodzieje — wzniesiono komisariat.

Oczy przechodniów codziennie oglądają przejścia podziemne, targowiska, komisariaty, te pamiętki po wypadkach, po targowiskach, po złodziejach. Odczytują krzywe napisy na murach domów i na ścianach klatek schodowych. Dłoń sunąca po poręczu wyczuwa pod palcami stary podrapany lakier. W ten sposób natrafia się na codzienne myśli. Najczęściej na anemiczne myśli poranne, w których tkwią pytania najmniejsze, jakie mogą być. Ściany klatek schodowych znaczą smugi i plamy, każda od czegoś innego, niektóre już bardzo stare. Jakaś myśl, dla której nie było miejsca gdzie indziej, mogła tak bez reszty wtopić się w kształt zacieku sprzed lat, że spotyka się ją każdego dnia, wchodząc i schodząc po schodach. Trwa tylko dzięki temu. Język zacieków jest ubogi, niechlujny i pokrętny. Tam, gdzie jest tłoczno, te same kształty muszą wyrażać treści niemożliwe do pogodzenia. Ale to treści tak marne już same w sobie, że dla nich kształty zacieków są aż nadto dobre. Myśli popołudniowe wolą gnieździć się w domowych sprzętach. Są też myśli nocne — te tkwią pod czaszkami jak igły. Pod wieczór zaczynają sprawiać ból. On też jest znakiem, też jest podporą pamięci.

Tylko codzienna praca pamięci wiąże ukryty pod tynkami okrągły miliard ciemnoczerwonych cegieł, gdy wszystko wokół ulega rozprężeniu. Z biegiem lat sadza przywarła do tynków, wełnista substancja zebrała się w szwach ubrań mieszkańców, parapety i gzymsy obrosły ptasim guaniem. W mrocznych zakamarkach piwnic koty rozszarpywały myszy. Klatki schodowe zaczęły wydzielać mysi i koci zapach okrucieństwa. Znikły — nie wiedzieć kiedy — błyski światła na szybach. Zgasł blask kryształowych żyrandoli

Przemiana

Słowo

Miasto, Wspomnienia,
Pamięć, Woda, Rzeka

w strzelistym pałacu wzniesionym w sercu tego miasta. Większość z nich zresztą pozdziejowano, kiedy zaczęły być niebezpieczne. Z ram luster złuszczyła się pozłota, wytarły się pluszowe obicia rzędów foteli, stoły przydzielne zniknęły i być może niszczeją w piwnicach. Spłowiła nawet czerwień tramwajów. Ściany kanałów obrosły czarną mazią. Mury osiadły, tynki pokryły się siatką pęknięć. Arterie miasta pełne są wyrw i zrostów, a jego instalacje są w pewnej części — lecz nie wiadomo, jak dużej — zepsute, nie wyłączając najważniejszych, tych, którym miasto miało zawdzięczać swoje trwanie. Są tacy, którzy o wszystko obwiniają ten piękny pałac stojący w sercu miasta. Podobno był za wysoki: montowana na nim iglica w swoim czasie wybiła pierwszą dziurę w niebie.

Oto ulica, na której zawsze pada deszcz. Strumienie wody zalewają dachy domów, płyną po szybach, wzbierają w głębinach podwórek.auta suną po jezdni jak po dnie kanału, gdzie jest ciemno i zielonkawo i parasole rozkwitają jak algi. Oddychać jest tam zbyt ciężko, jak to pod wodą. Matki ciągną za sobą dzieci po codziennych trasach między sklepem a placem zabaw. Nieskore do roztkliwiania się, bo zawsze spóźnione, przywykły nie zwracać uwagi na udrękę własnych płuc. Przekonały się, że to wszystko tak zatopione w tej wodzie, może dalej istnieć, z bólem — lecz mniejsza o ból. Po zmierzchu lokatorzy odpływają w głąb siebie tylko znanych akwenów. Prądy znoszą ich myśli to w tę, to w tamtą stronę, jak opuszczone okręty. Nikt o nie nie dba, każdemu z nich czegoś brak, barwne ryby raf koralowych przepływają między wrakami osiadłymi już na dnie. Czasem konik morski, poruszając pyszczkiem, podpłynie do okna albo prąd wodny zniesie za kredens egzotyczną rybę.

Jest też ulica, na której zalega zimno oddzielone od ciepła, tak jak gdzie indziej zalegają mgły poranne. Oddzielone od ciepła zimno obraca w lód wszystko wokół. Na wiecznie oszronionych szybach okiennych rozrastają się strzeliste bramy, wspaniałe lodowe ostrołuki, niebieskie, liliowe i białe krużganki, wiszące mosty i szklane góry, i zstępują ku oblodzonej jezdni, i zagarniają całą przestrzeń ulicy. Krystaliczna konstrukcja oplata dachy i rynny, wgryza się w ściany budynków. Z tego powodu ulica musi być zamknięta dla ruchu, tablice informacyjne wskazują trasy objazdu. A mieszkańcy skutych lodem domów zapadli w najgłębszy sen i śni się im, że zamarzają na śmierć.

Jeśli tak jest, gdzie indziej napływać musi ciepło oddzielone od zimna. Jest więc w tym mieście i taka ulica, na której upał od wielu lat nie zelżał ani na chwilę. Trawniki wyjałowiały i przemieniły się w tumany piasku, które rozwiewa gorący wiatr. Ziarenka piasku wpadają ludziom do oczu, wywołując przekrwienie białek, co nadaje twarzom wyraz tłumionej furii. Piasek wciska się wszędzie, zniszczył już wszystkie okoliczne zegary i maszyny do szycia. Nocą słychać tam wrzaski, a czerwone ogniki papierosów błyskają po bramach, w każdej po kilka. Jest tak gorąco, że nikt nie zaśnie. Niektórzy bez zmużenia oka przeżyli tam całe lata, popadając w coraz większe rozdrażnienie. Pod każdą latarnią stoi alkoholik i prostytutka, po kilka razy na godzinę przejeżdża z wyciem syreny karetka pogotowia albo wóz strażacki. W kuchniach przypala się kapusta ze słoniną. Młode kobiety malują jaskrawą szminką usta czarne od przekleństw. Dzieci wbiegają pędem pod ciężarówką, złodzieje uciekający po dachach roztrzaskują sobie czaszki o bruk. W prosektorjach z ich serc wypłukuje się piasek.

W innym znów miejscu zbiera się woda. Co roku po zimie domy zapadają się głębiej w grząski grunt. Partery znikły już do połowy. Mieszkańcy, którzy nie widzieli tam dla siebie przyszłości, śnią, że wyprowadzili się do podmiejskich willi z wieżyczkami obrośniętymi bluszczem, na zawsze porzucając trzęsawisko, w jakie obrócił się żywotny fragment miasta. Niczym zbuntowana tkanka organizmu zaczął rozrastać się w głąb. Windy wywożą błoto spod fundamentów na powierzchnię, by mogły się tam zmieścić kolejne podziemne kondygnacje. Mieszkania, sklepy, warsztaty, garaże czekają na zasiedlenie przez tych, którzy nigdzie nie mogli znaleźć sobie miejsca. Świecą wypalone żarówki, tokarki bez noży, maszyny szwalnicze bez igieł, suwnice bez wciągników pracują dzień i noc.

Najgroźniejszych awarii nękających to miasto nie da się usunąć, nie można też zapobiec kolejnym katastrofom. Miasto i tak przywyknie do wszystkiego. Niebo opada co roku trochę niżej, lecz nie myśli się o nim, póki nie przygniotło dachów. Być może w archiwach leżą jeszcze stare rysunki techniczne, ale nie ma nikogo, kto umiałby coś z nich wyczytać. Nikt nie próbuje zgadywać, jakie to instalacje puszczono ponad kłosem nieba,

a jakie przeciągnięto pod ziemią. Ci, którzy miesza zaprawę, nosili cegły, skręcali rury, nic nie wiedzą, oprócz tego, że na początku nie oszczędzali się i pracowali ciężko. Ten i ów może nawet pokazać dłoń z kikutami palców obciętych przez piłę tarczową, protezę nogi zmiażdżonej przez blok kamienny, zabliznioną dziurę w czaszce. Pamiętają tylko samych siebie — a i to piąte przez dziesiąte — jak w spodniach pobrudzonych wapnem uwijali się po słonecznych placach budowy.

Gdyby przyszło im teraz po raz drugi budować to miasto, główne arterie krzyżowałyby się w izbach przyjęć szpitali, hale dworcowe mieściłyby w sobie ogromne dormitoria dla tych, których życie straciło kierunek, tramwaje wjeżdżałyby po szynach do rzeki. Nie ma tu nikogo, kto potrafiłby opanować chaos przeciwmiasta, nikogo, kto by znał nieomyślne procedury obliczania wytrzymałości konstrukcji, pozwalające przewidzieć, czego można się po niej spodziewać. Nikogo, kto by wiedział, czym podeprzeć niebo, nikogo, kto nakazałby inżynierom zrobić to albo tamto. Mieszkańcy miasta muszą się z tym pogodzić, że nie istnieje żadna wiedza lepsza od ich własnej, ani żaden materiał budowlany lepszy od tych, które znają, i nie ma żadnego wyjścia lepszego od najgorszego. Domysłu, że miasto może być inne, nie udało się potwierdzić. Wyschły soki, które ożywiały je na początku sezonu wegetacji. Ucichły i przebrzmiały chóralne pieśni, soczewki dwuobiektywowych lustrzanek, którymi fotografowano kiedyś place budowy, pokryły się kurzem i zmętniały w mrocznych szufladach, zbędne, odkąd nie przepuszczają obrazów. Teraz każdy jest tu sam i każdy ma swoje własne miasto, które sypie mu się na głowę.

W senne poranki krew zastyga w żyłach, oczy prawie nie patrzą i brakuje sił do następnego kroku. Pielęgniarki i szwaczki, monterzy i szoferzy na wpół uduszeni zasypiają na schodach, trzymając się poręczy. Czasem ktoś nagle otwiera oczy i zaczyna się rozglądać dookoła, niczego nie rozpoznając, zdumiony tym, jak blisko było od młodości świata do jego zgrzybiałej starości. I nikt nie rozumie, gdzie podziła się wiara, gdzie porywy uczuć, gdzie pieśni. Gdzie zgubiła się nowa droga życia: czy przemieniła się w tę zasnętą pajęczynami, wyczerpującą, stromą i samotną drogę w dół i w górę po schodach? Gdzie duma i nadzieja, teraz, po latach, kiedy wiadomo już wszystko o sukcesach, awansach, porodach, rozwodach, wypadkach, pogrzebach?

Niektórzy czują się oszukani. Poirytowani i rozgoryczeni pytają, dlaczego w swoim czasie nie zadbano o to, by fundamenty oddzielić od podłoża, czyli, inaczej mówiąc, dlaczego nie umieszczono ich w powietrzu, z dala od gruntu, od tego siedliska mrówek i dżdżownic, z dala od wilgoci, od źródeł zgnilizny i rozkładu. A twórcy projektu milczą. Czy to możliwe, że zniknęli bez śladu? Czy to możliwe, że naprawdę nigdy ich nie było? Czyja więc wola i czyje przekonania odcisnęły się w zrębach miasta? Nie wiadomo. I pytający muszą sami szukać odpowiedzi. Jedna z możliwych głosi, że miasto nigdy nie poddawało się woli budowniczych. Ulegało tylko naturze materiałów i kaprysom przypadku. Szerzy się plotka, że istotnie usiłowano zawiesić fundamenty w powietrzu, lecz nie pozwolił na to bezwład płynnego betonu, jego uparta bierność, która przesądziła o fiasku idei zwycięstwa porządku nad chaosem: ze swej strony nic nie uczynił, by wesprzeć porządek.

W istniejącym stanie rzeczy żyły wodne, pokłady gliny i ławice piasku pozostaną wiecznym zagrożeniem. Jeśli miałby zostać utrzymany w czystości ten zamknięty obszar szczęścia, jakim miasto było w zamyśle, ta forteca porządku zwrócona przeciwko burzliwemu oceanowi chaosu — treści, które w niej krążą, dniem i nocą musiałyby być odprowadzane na zewnątrz jak miejskie ścieki, tak aby nie pozostał po nich nawet ślad kurzu, żadnych kałuż, żadnych śmieci na pokratkowanym papierze bruku, żadnych zbłąkanych rzeczowników, czasowników, przmiotników. Lecz wtedy i to, co zatrzymano w mieście, w jednej chwili rozproszyłoby się po wodach przeciwmiasta jak flotylla statków, które utraciły kotwice.

Im większa byłaby regularność i harmonia pod szczelnym kloszem nieba, przykrywającym domy i ulice, tym gorszy powstałby zamęt po drugiej jego stronie, gdzie w błękitnych odmętach wiruje bezładnie wszystko to, co kiedykolwiek zdołano uprzątnąć i usunąć: nieudane odlewy, nadtluczone płyty piaskowca, odłamki czerwonych cegieł, porwane przez wiatr parasole, wióry i trociny, stare pudełka po papierosach, ławice niedopałków, strugi oleju maszynowego, zbutwiałe murarskie czapki, szmaty, obierki od kartofli, kłębowiska chmur, ekskrementy, a nawet zgniecione przęsła mostów. Obszar ładu z na-

tury rzeczy wciąga zamęt, póki poziomy zamętu się nie wyrównają. I choć klosz nieba chroni miasto przed zalewem odpadków, to i tak dostaną się one do podziemnych wód, i tą drogą powrócą.

Równie nieosiągalne jak absolutna szczelność jest całkowite oczyszczenie. Wymagaloby metodycznego usuwania zbędnych myśli, jeszcze zanim w swej pokrętności doprowadzą do przypadkowych wydarzeń, jeszcze zanim zdołają nadać bieg sekwencjom wypadków. Lecz pozbyć się ich nie sposób, każda bowiem wprzęgnięta jest w całość, jest jednocześnie przyczyną i skutkiem faktów dokonanych, wytworem wiadomej maszynierii i tym, co nadaje kierunek jej obrotom.

Niestety, nie wiadomo też, z czego i jak zrobione są jej części najważniejsze, te ukryte przed wzrokiem mieszkańców. Początkowe zaufanie do ich doskonałości było tak wielkie, że montowano je z zamkniętymi oczami, nie pytając, do czego służą. Inaczej było z zaprawą, przygotowywaną na placach budowy: każdy pomocnik murarski widział, że wapno nie jest zlasowane jak należy. Biorąc je do zaprawy, powoływano się na doskonałość niewidocznej konstrukcji głównej, która wszystko wytrzyma. Liczono na to, że jej kotły, silniki i przekładnie są bez wyjątku najprzedniejszej jakości, po prostu niezniszczalne. Nie wiadomo dokładnie, z czego zmontowana została ta konstrukcja, przez kogo i w jaki sposób. W miarę zużycia wychodziło na jaw, że niewidoczne elementy świata są nie lepsze, a może i gorsze od tych widocznych. Bez wątpienia sfabrykowano je byle jak i z byle jakich materiałów, podlejszych nawet od tej wapiennej zaprawy. Nie można było wykluczyć, że najważniejsza część maszynierii, ta, która obraca gwiazdami, słońcem i księżycem, to taka sama tandeta i szmelc.

Lecz w mieście takim jak to, choćby było nawet ze złota i platyny, całe wysadzone brylantami, każda drogocenna budowla okaże się w końcu nędznym zbiornikiem goryczy i niepokoju, na filarach źle postawionych pytań oprą się łuki nieprzydatnych odpowiedzi. I choćby było całe z nieskazitelnych cegieł i z nowiutkich tynków, z rur bez śladu rdzy, z szyb bez skazy, z chodników błyszczących jak lustra, i tak pozostanie siedliskiem chaosu. Mówi się, że te specjalne urządzenia do oddzielania porządku od zamętu, dobra od zła, które obrosły pracującą wyłącznie na ich potrzeby instalacją odpowietrzającą i oczyszczającą, same sprowadziły więcej chaosu, niż zdołały go usunąć. Kiedy twórcom idei odgrodzenia miasta od przeciwmiaста udało się sprowadzić wszelkie możliwe komplikacje do kwestii zasilania owych urządzeń, nie mogli jeszcze przewidzieć, jak bardzo kosztowne, rozrzućne, niemożliwe okaże się usuwanie bezwładu świata poza jego granicę. Czyż bowiem świat nie jest utkany z bezwładu? Czy przejawy bezwładu nie mnożą się szybciej, niż zdolne są działać wiadome instalacje? Nikt nie umie naprawić tego, co popsute. Stało się jasne, że daremny jest trud froterowania podłóg, odkurzania chodników, polewania asfaltu wodą w upalne dni, a nawet malowania olejną farbą ścian w poczekalniach. Lecz mieszkańcy tego miasta nie mogą zrobić nic ponad to. Zniechęćeni, porzucili swe jałowe trudy. Główna reguła była i pozostała niejasna, a jeśli twórcy planu — o ile istniał — mieli o niej jakieś wyobrażenia wykraczające poza to, co pisano na transparentach — zachowali je w tajemnicy, wbrew rozsądkowi wierząc, że znajomość rzeczy okaże się niepotrzebna, utwierdzeni w nigdzie nieznajdującym uzasadnienia przekonaniu, że to, co najłatwiej może się popsuć, nie psuje się nigdy.

Dzieło stworzenia pozostałoby niedokończone, gdyby nie dopełnił go potop. Przeciwmiaστό prawdopodobnie dawno już przerwało tamy. Podobne wzburzonemu morzu w jednej chwili zalewającemu pracowicie osuszane poldery, niepostrzeżenie zatopiło całe to miasto od fundamentów po dachy. Kiedy zaczęło się przeciekanie? Nikt nie wie. Być może już w pierwszej minucie po rozpoczęciu budowy rzeka płynąca przez miasto, niosąca rozproszone, migotliwe odbicia strzelistych dzwonnicy i stromych dachów, zmieszała swoje fale z zielonymi od zastoju wodami pamięci, w których odbijały się dzwonnice z utraconymi hełmami, wypalone samotne czynszówki wśród morza gruzu. A wszystkie wody, te i tamte, roztopiały się w czarnej wodzie zapomnienia. Bezdenny ocean przyjmuje wszystko, zawsze i w każdej ilości, do ostatniej kropli.

Nazwa także uległa rozpadowi, nie wiadomo kiedy. Litery skurczyły się, a niektóre się pokruszyły, gubiąc odłamki. Nie ma liter — nie ma miasta. Tylko one były czymś pewnym w chaosie dat, zdarzeń i wyobrażeń. Tylko nazwa ogarniała to, co niemożliwe do ogarnięcia: pieśni i przemówienia, radosne pochody ze sztandarami, a w końcu i zapo-

Miasto, Obraz świata

mniane śmigłowce służb miejskich, które od tak dawna latając bez paliwa, skarłowaciały i — podobno — jako niebieskie ważki unoszą się teraz w ogrodzie botanicznym nisko nad ziemią.

To miasto, ochraniające przez pamięć i niszczone przez zapomnienie, jest miastem śmierci. Zapomnienie unosi gesty i grymasy, rozpędzone chmury, krople deszczu na szybach, powiewy wiatru. Przepływ śmierci omija tylko tych kamiennych murarzy w kamiennych ubraniach, którzy z głębi swoich nisz patrzą kamiennymi oczami bez źrenic na sunący w głuchej ciszy ruch uliczny. Ten rodzaj życia, który mają w sobie, nie ulega zniszczeniu nawet w powodziach, pożarach i wybuchach. Odłupana kamienna głowa może dalej istnieć, nie bardziej nieruchoma, niż kiedy była osadzona na karku. Samotna dłoń pozostanie równie beczynna jak wtedy, kiedy należała do kamiennego ciała. Palec wskazujący pozostanie tym, czym był, także na dnie rzeki, do połowy zagrzebany w piasku i opleciony wodorostem. Nawet kruszywo, którym wysypuje się jezdnie przed wylaniem asfaltu, zachowuje swoją wagę, objętość i miejsce w przestrzeni: nie sposób go unicestwić.

Mury nie zadają pytań, nie udzielają odpowiedzi. Gmatwanina pstrzących je napisów nie jest ich sprawą. Pytania, na które każda odpowiedź byłaby równie dobra, trwają w ciszy, nieruchome, spiętrzone jedne na drugich, związane cementem. Ten rodzaj życia zawieszony jest w przepastnej oczywistości. Kamienie, gdy tracą oparcie, spadają, jeśli spadną — leżą. Nie mają wpływu na formę, jaka zostanie im nadana, ale też przyjmują ją z bezgraniczną obojętnością. Z taką też obojętnością trwają. Cokolwiek się wydarzy, nie dodadzą do tego nic od siebie. Ani nie cieszą się, ani nie rozpaczają, ani nie można ich o niczym przekonać. Są niewzruszone: nie boją się ani cierpień, ani unicestwienia i niczego nie pragną.

Mieszkańcy tego miasta pozazdrościliby może kamieniom tej obojętności, gdyby umieli w niej dostrzec wolność, jakiej od zawsze brakowało im do szczęścia. Nic o tym nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, że oprócz ulotnego życia ciał i umysłów, nosili w sobie niezniszczalne życie kamieni. To zaś, co sami uważają za swoje życie, okaże się tylko gorączką trawiącą myśli, znękanie wiecznym przemieszczaniem się piasku, bezwładem gliny i niepokojącym chłupotem wody. Nie pragną życia kamieni, jedyne, jakie jest dane na zawsze. Odstępuje ich kamienny spokój murów, a zwłaszcza bezruch kamiennej ręki, która nie zdrży, cokolwiek się stanie. Trwający we wnętrzu kamieni bezmiar milczenia, bez myśli, bez uczuć i bez pragnień, zdumiewa i przestrasza. I życie bez pragnień wydaje się jeszcze okropniejsze niż tamto, dobrze znane im wszystkim, ciężkie od niespełnienia.

Ci, którzy wierzyli kiedyś, że to, co czyste, będzie coraz czystsze, i którzy odkryli później, że czystość przemienia się w brud, już się nie buntują. Nie mają nic przeciwko temu, by wszystko, co przez lata z największym wysiłkiem usuwano poza kopułę nieba, na powrót wymieszało się z substancją miasta. Utrzymują, że nieszczelność nie spędza im snu z powiek. Wystarczy — mówią — wyzbyć się tęsknoty za doskonałością.

Przewidują, że wtedy znów połączą się rozdzielone niegdyś wody górne i dolne, i wody górne przestaną zalewać dachy, a wody dolne przestaną podmywać fundamenty. Wtedy też uspokoi się ten wielki wzburzony ocean, w którego falach marynarze z ceglanych okrętów walczą o życie i toną, i idą na dno. Porzuciwszy nieziszczalny zamiar zawinięcia do portu, w ostatnim spazmie wypuściwszy powietrze z płuc, które w tej chwili wypełni woda, wreszcie zazną ulgi. Tylko to — mówią — może ją przynieść. Tak czy inaczej wszyscy — mówią — nawet ci, co spoczęli na dnie, bezpiecznie powrócą do domu. Dorem — mówią — jest cisza.

Inni mówią, że potrzeba nam jeszcze większego zamętu coraz gorętszych pragnień, coraz bardziej dręczących pytań, potrzeba nam coraz więcej beużytecznych odpowiedzi, których ciągnięcie na los szczęścia — jak gra bez wygranych — nie przyniesie nic prócz udręki. Udręka przecież nie może trwać wiecznie: zawsze zmierza ku przesileniu. Jest nadzieja, że blask, od którego oko do reszty przestanie rozróżniać kolory i kształty, z powrotem obróci się w banalny obraz narożnika, szyldu nad sklepem, franki w oknie. Zgiełk, od którego ucho do reszty przestanie rozróżniać dźwięki, utonie w łagodnej ciszy jawy, tej samej, która przez cały czas trwała we wnętrzu kamieni. Miażdżący napór myśli, od którego głowa pęka, odsłoni w końcu pustkę, lekką i przezroczystą.

Niech cisza rozpościera się we wnętrzu każdej cegły i przenika wszystko na świecie:

Śmierć

Przyroda nieożywiona,
Wolność

Cisza, Nieśmiertelność,
Obraz świata

domy, słońce i gwiazdy, chmury na niebie, powietrze w płucach i płuca same. Dopiero wtedy ręka zacznie pasować do uchwytu narzędzia, czapka do głowy, i klatka żeber przestanie oddzielać serce od reszty świata. Wtedy łatwiej będzie przyjąć oczywistą prawdę, że przygniatający nas ciężar nic nie waży. Miasto zrodzone przez drzewo świata na początku tej historii — nie istnieje, podobnie jak my sami. Jest tylko niezniszczalne, wolne od nazwy trwanie.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tulli-sny-i-kamienie>

Tekst opracowany na podstawie: Magdalena Tulli, *Sny i kamienie*, 2019, wyd. II.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

Okładka na podstawie: Jasper Morse@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5750-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.